

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 24 marca 1946 r.

Nr 12 (69)

JAN ALFRED SZCZEPAŃSKI

Przerosty watykanizmu

W istocie polityka dworu watykańskiego, uniżona, chytra, opuszczona od Ducha, nie wzbudza już wiary ani nadziei, nie umie już Rzym iskry miłości i mięstwa siać w serca ludzi...

Zygmunt Krasieński

Jest faktem, że kościół dzisiejszy unika męczeństwa, pakuje ze złem, prowadzi politykę oportunistyczną... tych, którzy w życiu politycznym niekiedy i czynnie gwałcą ideał miłości chrześcijańskiej, uciskając np. całe narody, nie tylko nie wyklina, ale czasami chwali i nagradza...

Ignacy Chrzanowski (1922)

I

Fakty, zestawione poniżej i wnioski z nich wysnuwane bynajmniej nie mają na celu poruszania spraw z zakresu tzw. światopoglądu, nie mają uzasadniać i nie uzasadniają punktu widzenia żadnej z socjalno-politycznych doktryn. Zadaniem ich ma być po prostu mniej dotychczas, uwypuklenie pewnej grupy zjawisk politycznych, pewnej linii postępowania Watykanu, z którą Polska nie może się nie liczyć i która ma dla Polski poważne znaczenie. Jak najdalej jestem natomiast od poruszenia zagadnień religijno-dogmatycznej natury, są one zresztą zbędne przy omawianiu przerostów watykanizmu czyli bieżącej polityki kurii rzymskiej. Chodzi tu bowiem o sprawy wyłącznie ziemskie i absolutnie nie mające wspólnego z zasadami wiary Chrystusowej, z zasadami jakiegokolwiek wiary religijnej, ludzkie sprawy ludzi wyposażonych w pewien zasób ziemskiej władzy i pewien zasięg wpływów. Zagadnienie jest polityczne i będzie się obracało w kategoriach świata doczesnego.

II

Jakiegokolwiek biskupi rzymscy, od VI w. nazywani z greckiego papieżami, przypisują sobie od XIX w. pewne znamiona boskości (nieomylność w rzeczach wiary), bywali papieżem, których wszelkiego rodzaju działalność spotykała się z krytyką ich następców, a prawie przez cały czas historii świeckiej kościoła spotykamy papieżów, którzy dla względów i korzyści ziemskich dalecy byli od przestrzegania zasad Chrystusowych w polityce. Biskupi bywali różni i papieże bywali różni: światobliwi i święci, ale też awanturnicy, złoćwicy i mordercy. Wystarczy przypomnieć czasy renesansu, nie mówiąc już o okresie tzw. pornokracji w dziejach papieństwa (X wiek), kiedy na tronie papieskim zasiadały takie potwory jak Sergiusz III, Benedykt X lub 18-letni Jan XII. Ale nie sięgajmy do tych czasów, które minęły. Do czasów współczesnych sięga jednak dwoistość polityczna papieństwa. Dwa kierunki, które na przemian dochodzą w nim do głosu: liberalny, gotów szukać wspólnej drogi z kierunkiem przemian światowych tej próbować schwycić je i zużytkować dla utrwalenia i utrzymania katolicyzmu, jako realnej siły społecznej na powierzchni życia katolickiego — oraz kierunek ortodoksyjny, zachowawczy, usiłujący swoje stanowisko utrzymać przez bezwarunkowe przeciwstawianie się „nowinkom”.

Przedstawicielem pierwszego kierunku był Leon XIII, drugiego — jego następca Pius X, przedstawicielem pierwszego kierunku był Pius XI, drugiego — jego następca Pius XII. W polityce ziemskiego katolicyzmu osoba każdorazowego papieża ma znaczenie niezwykle ważne. Znak trafności myślenia politycznego a zarazem stosunek do Niemiec i Polski i poglądy na faszyzm Achillesa Rattiego („merkuriusz ordynaryjne” oburzały się, że sprzyja Żydom i robił aluzję, że miał kontakty z masonerią) — można bez obawy posądzenia o fantazjowanie przypuścić, że papięstwa, gdyby poprzednik obecnego Piusa dożył dni dzisiejszych. Nie będziemy się zastanawiali, czy stałoby się to z korzyścią dla papieństwa; w każdym razie wolno wątpić, czy Pius XI angażowałby się tak wyraźnie stronnictwo na rzecz „osi” czasu wojny, a dziś Niemiec i Hiszpanii, jak to czyni papież obecny.

Można bronić polityki Piusa XII przed przesadnymi, emocjonalnymi zarzutami ze strony niektórych katolików polskich, wskazaniem na jej taktycznie słuszne — z watykańskiego stanowiska — założenia i przy-

czynny: chęć ratowania tego, co do uratowania zdaje się być możliwe, zrozumiała troskę o los kleru i interesów kościelnych w krajach ogarniętych przez prądy dla katolicyzmu nieżyczliwe; trudno np. znaleźć dostateczny powód, dla którego by tak ostrożny i w dodatku watykańskimi tradycjami krępowany polityk jak Pius XII miał wykląć Hitlera, jak mu to podsuwali polscy katolicy. Kłątwa kościelna od dawna straciła swój jad i ojciec święty tylko by się ośmieszył, gdyby wśród średniowiecznego ceremoniału cisnął średniowieczne gromy na głowę brunatnego führera. Ale od teatralnych gestów i romantycznego zgrywania się na historycznej scenie do wyraźnego opowiedzenia się po stronie faszyzmu — droga daleka i wstrętliwa w jednym nie przesadzała stanowczości w drugim. Rzadko też kiedy w dziejach kościoła nagromadziło się tyle goryczy w stosunku do decyzji podejmowanych w Watykanie co obecnie. A nie są to sprawy błahе, jeśli zważyć, że schizmy miały swe bezpośrednie źródło zawsze w błędach i winach papieżów i ich kancelaryj.

III

Polityka Piusa XII była przez cały czas jego dotychczasowego pontyfikatu niedwuznacznie filowłoska i filoniemiecka i taką pozostała po dziś dzień.

W odpowiedzi na wigilijne przemówienie papieża w 1945 r. zajął się I. Borysow w „Prawdzie” szczegółowym przeglądem polityki Watykanu, zestawiając daty i fakty i uzasadniając twierdzenie, że „stałe popieranie przez Watykan najbardziej reakcyjnych tendencji, stronnictw i rządów — jest faktem bezspornym”. W szczególności udowodnił Borysow, że „Watykan jest ściśle związany z monopolistycznym kapitałem poprzez banki i koncerty wielu państw” i przytoczył odpowiednie dane i dowody. Oto istotna rzecz, do której dodać należy nadbudowę emocjonalną, monachijskie wspomnienia czyli osobistą serdeczność uczuć Piusa XII dla Niemców oraz chwalebne skądinąd przywiązanie do własnej narodowości.

A oto wynikające z tych przyczyn fakty:

30 września 1939 r., przemawiając do delegacji polskiej, papież znalazł tylko słowa religijnej pociechy dla przedstawicieli podbitego państwa: „pozostaje wam na kształt smugi świetlanej wśród mroków obecnej nocy świadomości dziejów narodowych, których dziesięć wieków bez mała zeszło na służbie Chrystusa”. (Nieśmiertelna scena z „Kordiana”).

W orędziu wigilijnym 1939 papież stanął zdecydowanie na gruncie faszystowskiego rewizjonizmu i mówił o „istotnych potrzebach i słusznych żądaniach narodów i państw”, zalecając rewizję traktatów. W tymże orę-

dziu nazwał Pius XII Mussoliniego wodzem otoczonym chwałą.

W 1940 r. papież udzielił osobiście kardynałowi z Wrocławia, Bertramowi, wyjątkowego przywileju dla księży jego diecezji: mogli rozgrzeszać wiernych zbiorowo, bez indywidualnej spowiedzi.

25 listopada 1940 r. mówił papież pod adresem Hiszpanii: „Prawa stanowione są przez właściwe osoby w państwie dla dobra obywateli, toteż obywatele powinni ich przestrzegać, przyczyniając się w ten sposób do dobra swego kraju. Prawo nie zawsze jest miłe, a nieraz bardzo surowe, często też narzucane jest narodowi wskutek jego własnych błędów”. Tegoż dnia do Niemców: „Tendencje do przyklejania chrześcijaństwu etykiety socjalizmu i przedstawiania Chrystusa, jako przyjaciela ubogich w szczególności, sprzeczne są z prawdziwym duchem i nauką Chrystusa. Posłannictwo Chrystusa jest w istocie powszechne i nie ograniczało się nigdy do jednej klasy, ani też Chrystus nie nawoływał nigdy do obalenia klas. Nie wzywał nigdy niewolników do powstawania przeciw ich panom, lecz panów wzywał, by łagodnie traktowali niewolników”.

W orędziu wigilijnym 1940 r. kilka ciepłych słów poświęcił papież odwadze, z jaką broni się ziemia włoska. Były to czasy, gdy Mussolini zdążył na moment dobijania Francji i napadł na Grecję. Czyniło to inną, jeśli nie apłabą imperializmu, były zatem gorące słowa poświęcenia, udzielane w tym czasie żołnierzom włoskim?

Papież nie wahał się przyjmować na audiencjach osoby zgoda niedwuznacznej reputacji, jak „poglawnika” Pavelića, ambasadora Matsuoka i in. Nie szczędził im uprzejmych słów płynących z eter, spiesząc zamianować swą życzliwość dla idei przez nich reprezentowanych. Miewał przy tym gesty tak oryginalne jak np. zalecenie swemu przedstawicielowi w okupowanym Hongkongu, by przekazał sumę 45 tys. dolarów na rzecz rannych żołnierzy... japońskich.

Mgr. Orsenigo, nuncjusz papieski w Berlinie, udzielał hojnie błogosławieństw robotnikom włoskim w niemieckich zakładach zbrojeniowych.

Najbardziej skrupulatna polityka neutralności nie wymagała takiej kurtuazji. Natomiast tenże nuncjusz Orsenigo — jak wyraźnie zeznał ks. Wiśniewski na procesie Spletta — był zdania, że wprowadzenie języka polskiego do nabożeństw i spowiedzi w polskich diecezjach, przyłączonych do Reichu, nie ma sensu, gdyż nie ma tam Polaków, a jeśli są, to rozumieją po niemiecku.

Z chwilą przyłączenia Poznańskiego do Rzeszy jako „Warthegau” papież milcząco, ale pośpiesznie uznał nowy stan rzeczy i podjął kroki w kierunku rekonstrukcji diecezji

(a więc nagle nie archidiecezji) gnieźnieńsko-poznańskiej. Najważniejszym z tych „kroków” było mianowanie Niemca Hilariusza Breitingera administratorem apostolskim ad interim.

Z chwilą przyłączenia do Rzeszy województwa pomorskiego jako części „Gau Danzig Westpreussen” papież pośpiesznie uznał nowy stan rzeczy, mianując już we wrześniu 1939 r. administratorem apostolskim diecezji gdańskiej i chełmińskiej osławionego Karola Marię Spletta, któremu w latach następnych udzielał całkowitego poparcia.

Z chwilą przyłączenia kilkunastu parafii polsko-orawskich i polsko-spiskich do „niepodległej” Słowacji. Watykan pośpieszył się wyłączyć je spod jurysdykcji archidiecezji krakowskiej i przyłączyć je do słowackiego biskupstwa spiskiego (którego pasterzem, nawiasem mówiąc, był ks. Vojtasák, obecnie przez władze czechosłowackie więziony za działalność prohitlerowską).

13 maja 1941 r. mówił papież: „Jesteśmy świadomi naszej absolutnej bezstronności wobec wszystkich uczestników wojny i naszej „jednakowej miłości dla wszystkich narodów bez wyjątku”. Czy nie miałem zatem racji, pisząc, że papież „nie widział, najłagodniej oceniając, żadnej moralnej różnicy pomiędzy jedną a drugą stroną wojującą, że nie chciał dostrzec przepaści, jaka dzieliła świat walczący o wolność od świata gwałcącego wszelkie prawa boskie i ludzkie, że stawiał — najłagodniej oceniając — na równym poziomie Berlin i Londyn, Rzym i Nowy Jork”?

Po kampanii letniej 1941 r. papież pośpiesznie zawarł z Berlinem umowę dotyczącą krzewienia katolicyzmu na Wschodzie, pod skrzydłami niemieckich okupantów. Tak więc misjonarze katolicy — pisze „Prawda” z 1 marca br. — szli w ślad za ponurymi bandami SS-owskich i gestapowskich morderców. (Nieśmiertelna scena z „Lilli Wenedy”).

Tu przerywam i sądzę, że dla wyjaśnienia, co rozumiem pod pojęciem współczesnych „przerostów watykanizmu”, ciąg dalszy nie jest potrzebny.

IV

Ta linia polityki watykańskiej, ta uderzająca jednokierunkowość trwa dalej. Z miesiąca na miesiąc i z tygodnia na tydzień rejestruje prasa słowa i czyny płynące z Watykanu, a świadczące w sposób niezbity, że kurs pro-niemiecki nie osłabł i że, po pewnym załamaniu się w okresie klęsk niemieckich u schyłku wojny, odzyskał dawną prężność. Opierając się na rejestrze prasowym mógłbym przytoczyć mnóstwo nowych przykładów; nie czynię tego, nie chcąc powtarzać spraw dość znanych.

Papieżowi niesposób dziś zarzucić milczenie; owszem, odzywa się dość często, przy czym wiadomo z góry, że odezwie się w obronie Niemców wymownymi słowami, malując ich nieopisaną cierpienia, zwłaszcza doznawane od Polaków. Nie odsyła też papież katolików niemieckich do pociech religijnych, ale spieszy im z bardziej realną pomocą, dyskontując zarazem zyski polityczne w postaci wzmacniania politycznego frontu katolickiego i nawiązując do czasów, w których katolickie stronnictwo Centrum było jedną z najważniejszych partii politycznych Rzeszy. Z gorących uczuć wobec Niemiec wynika uprzedziwy chłód wobec Polski i co za tym idzie — dość wyraźne opowiadanie się po stronie „londyńskiej”. Audiencja udzielona Andersowi w Watykanie, w czasie której wygłosił papież charakterystyczne przemówienie programowe (wrzesień 1945), była wstępem do upartej do dziś trwającej propagandy „Osservatore Romano”, które w stosunku do spraw polskich zajmuje stanowisko proreakcyjne. Za paną matką mówią pacierz niektórzy dostojnicy, np. kard. Mooney, który „rozmą między Polakami” nazwał (lutą 1946) „walką pomiędzy duchem a brutalną siłą”, przy czym „ducha” reprezentują dla niego Anders i Raczkiewicz.

Te skłonności i sympatie odbijają się też często w sposób niekorzystny na bieżących interesach polskich. Tak np. księża niemieccy na Ziemiach Odzyskanych, czując za sobą poparcie papieża, stawiają bierny, lecz wyraźny opór zarządzeniom polskim i są ostoją niemieczyny. „Dziennik Ludowy” z lutego br. cytował jaskrawy dowód w tym kierunku. I ja otrzyma-



Henryk Brodaty i św. Jadwiga w otoczeniu dworzan. Miniatura w tzw. Kodeksie Ostrowskim, wykonany w r. 1353 przez Mikołaja Pruzę z Lubinia na zamówienie Ludwika Księcia na Brzegu.

łem ze sfer kościelnych przykre informacje na temat stosunków w diecezji warmińskiej, której administratorem jest ks. Teodor Bensch: po parafiach siedzi tam jeszcze 50 księży niemieckich, prócz tego jest dwóch niemieckich kanoników kapitulnych, w Olsztynie z dwóch proboszczy jeden nie umie prawie całkiem po polsku, drugi kaleczy język polski. Bezsprzecznie, są to „tylko” szczegóły, ale z nich właśnie składa się szkodliwa i niepokojąca całość.

V

Jak na tę wyraźną linię polityki Watykanu reagują czynniki polskie? Dnia 17 września 1945 r. rząd polski zmuszony był stwierdzić, „że konkordat zawarty pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską przestał obowiązywać, wskutek jednostronnego zerwania go przez Stolicę Apostolską przez akty prawne, zdziałane w okresie okupacji a sprzeczne z jego postanowieniami”.

Oto najbardziej miarodajna ocena polityki Watykanu z polskiego punktu widzenia. Nie poszły jednak za nią najmniejsze odchylenia w stosunku do dotychczasowej, uprzywilejowanej raczej niż ograniczanej pozycji kleru i-kościół katolickiego w Polsce. Nikt nie pragnął i nie pragnie zatargów z Watykanem, tym mniej — z klerem polskim. Przeciwnie, jak największego udziału katolicyzmu w dziele odbudowy życzą sobie wszyscy, także i ci, którzy katolicki pogląd na świat jest obcy. Nie o sporach z Watykanem myśli rząd i społeczeństwo, lecz o współpracy, gdyby była możliwa. I dlatego z takim żalem rejestrujemy wrogie Polsce słowa i czyny Watykanu. Polska pragnie jak najlepszej zgody z kurią rzymską, a panujących niestety rozdzźwięków nie przenosi na stosunki krajowe tym bardziej, że za politykę Watykanu kler polski nie może w zasadzie odpowiadać. Kler polski, zwłaszcza niższy, zajął w okresie okupacji stanowisko patriotyczne i zdecydowanie przeciwniemieckie (podobnie jak kler francuski), opłacając je wielkim procentem ofiar i męczeństwa. Były oczywiście wyjątki, sięgające aż do stolic biskupich (zachęcanie chłopów do wyjazdu na roboty rolne w głąb Niemiec), giną one przecież w ogólnie dodatnim obrazie. Szedł na rękę okupacji niemieckiej prałat Trzeciak — nie szedł ogół księży, spieszący np. z wydatną pomocą prześladowanemu narodowi, z którego pochodził Chrystus. Kler katolicki w Polsce nie chciał być najpierw rzymski a później dopiero polski — dlatego kryzys, wywołany polityką Piusa XII wobec Polski, przebiega łagodniej niż można było przypuszczać i głuchy żal a czasem niemal nienawiść do obecnego papieża nie przerodziły się w spontaniczne wołania o jawną separację od Rzymu, jakie dawały się słyszeć czasu wojny. Nie zmienia to oczywiście faktu, że krytyczny stosunek do politycznej linii Piusa XII pozostał wśród ogółu katolickiego i że nie mogą rozładować napięć coraz nowe wieści z Watykanu, jakkolwiekby starała się je przemilczeć lub obrobić tzw. prasa katolicka.

VI

I tu docieramy do drugiego sedna, do rodzi-mej serii przerostów watykanizmu, tj. w konkretnym wypadku do upartej, zaślepionej, w swym zaciętrzewieniu aż niezrozumiałej chwilami obrony Piusa XII wobec opinii polskiej. Zamiast umilknąć — jeśli już nie zwalczając — wydawnictwa katolickie wciąż na nowo rozwekają problem, któremu — z papieskiego punktu widzenia — byłoby najlepiej w ciszy i zapomnieniu. Piszą poza tym — im wydawnictwo ma większe ambicje, tym wyraźniej daje się ten rys charakterystyczny zauważyć — w mocno podrażnionym tonie, jak gdyby krzykiem i niewybrednością argumentów chcieli przytłumić rosnące wątpliwości lub zagłuszyć budzące się wyrzuty sumienia. Częstym celem ataków bywa też podpisany. Nie odpowiadałem na nie, ale pewnych zarzutów nie należy pomijać, tym bardziej, gdy stanowią dalszą ilustrację przerostów watykanizmu. W szczególności „Tygodnik Powszechny” w polemice ze mną wysunął dwa twierdzenia:

- 1) że papież nie tylko nie zapomniał o Polsce, lecz, przeciwnie, darzył ją szczególnymi względami;
- 2) że ogół katolików polskich solidaryzuje się z polityką Piusa XII, ponieważ „polityka przez niego wybrana im odpowiada” i ponieważ „nikt z katolików nie miał nigdy żadnej wątpliwości co do zasadniczego negatywnego stanowiska papieża i Watykanu wobec Hitlera”.

Dążąc do udowodnienia tezy nr. 1 obiecywał „Tygodnik Powszechny”, że będzie systematycznie i kolejno ogłaszał dokumenty, potwierdzające jego pogląd, natomiast dla umocnienia tezy nr. 2 ograniczył się tylko do dowcipu, że padłem „ofiara historii”, skoro dowodzę jakoby właśnie katolicy „biadali lub nie posładali się z gniewu, zapowiadali wyodrębnienie kościoła polskiego spod kurateli watykańskich polityków, tracili powszechnie zaufanie i wiarę, nie w dogmaty katolickie rzecz prosta, lecz w ich ziemskich stróżów i doktorów”.

Warto więc krótko odpowiedzieć:

ad 1) „Tygodnik Powszechny” obiecywał cykl artykułów, ale obietnicy nie dotrzymał, i słusznie, bo jak można dowieść czegoś, czego nie było? Po jednym czy dwóch felietonikach cykl się urwał, a i te dowody, które „Tygodnik Powszechny” przytoczył, nie wytrzymują krytyki.

Tak np. zacytował „Tygodnik” zdania z papieskich alokucyj, encyklik itp. z okresu 1939—40. Ale są one na ogół sformułowane tak ostrożnie, tak dwuznacznie a zarazem bezbarwnie i nieosobowo, że doprawdy najbardziej zażartego faszysty nie mogły urazić; nie mówiąc już o tym, że owe — jakże skromne — ówczesne uprzejmości Piusa XII pod adresem Polski mówione były w okresie, gdy wojska francuskie stały jeszcze na linii Maginota a Mussolini nie rzucił się jeszcze w swą ostatnią wojenną przygodę. Prawdziwa gloria „osi” a ostateczne poniżenie Polski to lata 1940—42. I w tych przede wszystkim latach katolicka część społeczeństwa polskiego oczekiwała najżarliwiej słów pociechy z wyżyn Watykanu; oczekiwała, ale się ich nie doczekała.

Inny argument „Tygodnika”: „Dalszym dowodem (miłości Piusa XII dla Polaków, przypisek mój) jest fakt, że wbrew zwycięstwu Niemiec, Stolica Apostolska utrzymywała przy rządzie polskim w Londynie nuncjusza, któ-

rym w r. 1945 był Anglik, Mgr. Godfroy. Oficjalny „Annuario Pontificio” przez lata wojny stale zamieszczał Polskę wśród państw, które utrzymują stosunki ze Stolicą Apostolską”. Ba, protokół dyplomatyczny ma swe zwyczaje i swoje subtelności. I Turcja utrzymywała formalnie stosunki z Polską, a prowadziła politykę filoniemiecką. Co zaś do owych nuncjuszów apostolskich — doprawdy, nie godziło się „Tygodnikowi” udawać, iż nic na ten temat nie wie. Pomagając jego pamięci, powołuję się na „Dziennik Polski” z 10 października ub. roku, gdzie przypomniano pewne ponure szczegóły tej sprawy. Jak wiadomo — nuncjusz Stolicy Apostolskiej trzymał się rządu Sikorskiego, jak długo sprawy wojenne szły nieźle, ale w czerwcu 1940 r., podczas rozgromu Francji, „zgubił się” i od tego czasu brakowało jakiegokolwiek przedstawiciela Watykanu przy emigracyjnym rządzie polskim, póki nim nie został Mgr. Godfroy... właśnie w tym rzecz, że dopiero wówczas, gdy wojna dobiegała już

LEOPOLD STAFF

Astrolog

Astrolog zamknął na klucz wieżę:

Poobcinał kometom ogony,

Wyrzucił oknem klepsydę i czaszkę

I poszedł na maskaradę.

Tam spotkał jeźdźca czarnego,

Który rzekł: „Bracie,

Życie ubiegło mego konia.

Sprzedam go w karczmie cyganom.

Spląć swoje długie jego złotą uzdą.”

Potem astrolog tańczył z dogaresą

I grał w kości z grubym kardynałem,

Zaszłytełował czterech Borgiów

I wypił rzekę malmazji.

Świł zasnął go przy śwędzie świecy.

Aby odczadzić ciężką głowę,

Zarzucił płaszcz na ramię

I mruknął: „Przejdźmy się na chwilę

Po Wiekach Średnich”.

Nikt tam dla niego nie miał czasu,

Wszyscy byli bardzo zajęci:

Bertold proch właśnie wynajdywał,

Krzysztof na mapie szukał Ameryki...

Astrolog wrócił.

Mijając ogród i sadzawkę,

Chciał podpałzyć Zuzannę w kąpieli,

Lecz dostrzegł tylko białego kucharza

I dziewczę, która przy kurniku

Oskubywała gęs na obiad.

Idąc w zadumie na mszę ranną,

Wstąpił do sklepu antykwarza,

Gdzie się zasiadzał do wieczora.

Szukaj palety świętego Łukasza,

Pieść elzewiry i aldyny,

Owijaj w czarny jedwab skrzypce.

Wenecja, patrząc na laguny,

Odplywa z okrętami w dal.

ROMAN BRATNY

Dramat w końskiej żrenicy

(Rzecz dzieje się na Starym Mieście w 1944 roku)

To wszystko chwilę widać na bohaterskiej arenie

żrenicy upadłego w wybuchu rumaka,

którego sam dorożkarz nawet nie opłakał,

bo nie wie nic — na barykadzie — przy cekaemie.

To wszystko widać:

Małka Boska ze ścian kościółka, który naprzeciw żrenicy leży

— choć taką małą widać, że samiutka siebie

unosłaby na rękach zamiast swego synka.

I dom widać tak mały, że całkiem zmieściłby się sobie

przez okno, przez wybitą szybę jedną

— dom jest mniejszy niż piórko na wróblim ogonie,

który mignął nad końskiej żrenicy areną.

Teraz wróbel odleciał a Marię zastąpił brutalnie

— zajął jej miejsce w żrenicy — z automatem —

żołnierz biegnący (pamiętasz wojsko otowiane?)

małenki i schylony. O Mariol — upadnie!!

Upadł! Już Maria puste po nim wyciąga ramiona,

i widać poległego pięć większą niż dom

— to już będzie — nie wyrwie ręki żołnierz, łbem nie rzuci koń,

na trwale helm zmieniła Marii aureola.

W kącie żrenicy końskiej zieje ogień

— przy samej pięści zabitego na linii

łuna leży małutka — to kwiat georginii

— to tutaj opadały wiszące ogrody

(skrzynki z okien u pięter)

— ten koń się pewnie schylił, by uszczknąć zieleni

I wiedy granat trafił i stąd na arenie

kwiat u poległego zaciśniętej pięści.

Do stóp Marii niosą ciężki karabin maszynowy — i już bije jak wściekły!

widac małutkich, zrywają się! — biegna,

rosną! Co to?! Raptem ciemność.

— Padł tuż przed końskim łbem dorożkarz niepodległy.

kresu. „Dziennik Polski” przytoczył też dyskusję na ten temat w Radzie Narodowej, gdzie jeden z postów postawił wniosek: „Rada Narodowa stwierdza, że od trzech lat nie ma nuncjusza papieskiego przy rządzie polskim w Londynie”, — a Arka Bożek namawiał, by nuncjusza poszukiwać drogą anonсу, z czego było wiele śmiechu, ale i wiele goryczy.

ad 2) Tylko katolicy w cudzysłowie potępiali politykę papieską? Wolne żarty! Choć nie wiem, by „Tygodnik Powszechny” redagowali ludzie przybyli z księżyca, służę im paroma szczegółami, ożywiającymi pamięć:

Dopiero niedawno temu przypomniawszy „Kuznica” wiersz Stanisława Balińskiego „W smutnym Rzymie 1939”, stanowiący sugestywną ilustrację uczuć, jakich katolicycy wygnańcy polscy doznali na ówczesnej audiencji u papieża i słuchając jego przemówienia (nawiasem mówiąc, uważanego za najściślejszą z polskich manifestacyj Piusa XII). Podobnych uczuć doznał Zygmunt Nowakowski, dając im wyraz w felietonie „Ambarasująca cisza” w londyńskich „Wiadomościach Polskich”.

W 1941 r. minister Mikołajczyk w publicznym przemówieniu stwierdził, że kraj żąda od papieża zdobycia się na coś więcej niż na rzadkie, czułe a obłudne słowa.

Tenże Zygmunt Nowakowski („Po raz setny stwierdzam, że byłem, jestem i będę katolikiem z krwi i kości”) pisał w „Wiadomościach Polskich” w 1942 r.: „O tych sprawach (prześladowaniach Polaków pod okupacją) radio watykańskie mówiło krótko i umilkło z przyczyn podyktowanych zapewne względami racji stanu. Od dawna panuje w Watykanie cisza na temat Polski, cisza tym bardziej grobowa i ambarasująca, że nuncjusza przy rządzie polskim nie ma”. Lub innym razem: „Czy w polityce Watykanu można przez najsubtelniejszy mikroskop dostrzec bodaj ślad wielkości? Jest to polityka zręczna zręcznością, która budzi wszystko inne prócz wzruszenia i wdzięczności... Świat idzie naprzód. Watykan nie chce o tym wiedzieć i za pomocą przebiegłej gry pragnie utrzymać swój dawny stan posiadania, o żadnych koncesjach dla przyszłego porządku nie myśląc, chyba że ten porządek ma być *Neuordnung*”.

Nie wątpli chyba „Tygodnik Powszechny”, że cytatów podobnych można by przytoczyć nieporównanie więcej? *)

VII

Nie należy niestety sądzić, że polityka Watykanu zmieni w czasie najbliższym swoje chęci i niechęci. Nie należy niestety sądzić, by w obecnej sytuacji międzynarodowej nie znajdowała coraz nowych „nawróconych”. Katolicki „The Tablet” zdobywał się czasu wojny na niedwuznaczną krytykę, dziś dmię całkowicie w żagle watykańskie. Papież źle przewidywał wynik wojny, ale dobrze widzi pewne obecne tendencje polityki światowej. Mamy w Piusie XII politycznego przeciwnika naszych interesów — to jest też niestety fakt bezsporny. Toteż jeśli żalosne wrażenie sprawiają próby wybielenia go, podjęte przez poważniejsze tygodniki katolickie, jako wręcz szkodliwe należy określić metody rozmaitych wydawnictw typu dewocyjnego, które za wszelką cenę — i często kosztem zdrowego rozsądku — usiłują gloryfikować bieżący watykanizm. Tak np. „Rycerz Niepokalanej” wali artykuły w rodzaju „Ojciec Święty Ojcem Polaków” a „Głos Katolicki” wprost nazywa działalność Piusa XII „chlubną kartą współczesnego kościoła”.

Oto cecha odróżniająca tak wyraźnie polityczny katolicyzm polski od politycznych katolicyzmów innych narodów i stanowiąca najgorszy, o ile o nas idzie, przerost watykanizmu. Nawet ultrakatolicy Hiszpanie, wiadomo, nie wahali się walczyć z papieżem, gdy oceniali jego politykę jako niekorzystną dla interesów Hiszpanii. W czynach Francji Bóg się objawiał (Gesta Dei per Francos), król Francji był arcychrześcijański — ale w polityce nawet kardynałowie bywali antypapiescy. Tylko my jedni na całym świecie w starciu interesów Rzymu i Polski byliśmy skorzy przyznawać pierwszeństwo interesom rzymskim. Czy nie dlatego właśnie byliśmy stale lekceważeni i spychani przez Watykan na plan drugi i dalsze?

Przerosty watykanizmu w Polsce miały jako skutek stały niedorożt znaczenia sprawy polskiej w watykańskim ośrodku dyspozycyjnym. Czy ich usunięcie z życia polskiego nie dałoby więc w skutku wzrostu wpływów polskich w rzymskiej kurii? Zawsze wyżej się ceni dobro, które można utracić, niż takie, którego się jest pewnym.

Upokarzający stosunek zależności i wasalstwa nigdy nie wychodził Polsce w Rzymie na dobre. Należy wierzyć, że zlikwidowanie przerostów watykanizmu, (na które chcemy liczyć), pozwoli wreszcie mówić Warszawie z Watykanem jak z równorzędnym partnerem politycznym. O to tylko chodzi.

Jan Alfred Szczepański

*) A oto przykład najnowszy, świadczący, że nie wszyscy katolicy uprawiają politykę przeczenia rzeczywistości lub przemilczania spraw niewygodnych. Ks. Stefan Wyszyński pisze w „Tygodniku Warszawskim”: „najbardziej popularna rozbieżność między Stolicą Ap. a przeciętnym człowiekiem polegała i polega na tym...”, a zatem rozbieżność ta widzi, a tylko interpretuje ją niesłusznie,

KAZIMIERZ BRANDYS

WRZESIEŃ

Raz, koło południa, przesunęło się przez podwórko troje ludzi. Starzy rodzice i syn. Syn był w mundurze. Matka, małeńka i siwa, trzymała go za rękę, zaglądając mu w oczy z czułą, wylekłą troską. Głowa drżała jej lekko, kapelusze przeskoczył się, ukazując kosmyczki białych włosów, ale ona nie zważała na to i szła drobnymi kroczkami, głaszcząc jego rękę. Ojciec niósł zniszczoną walizkę; drepnąc, trzymał się rozpaczliwie prosto i śmiesznie przeżył tors. Widziałem jeszcze, jak w bramie syn przygarnął ją do siebie szybkim, krótkim ruchem, a ona położyła mu głowę na piersi. Zostali mi tak długo w oczach: dwoje starych ludzi, żegnających syna, który szedł na wojnę. Nie przypuszczałbym, że może to tak wyglądać. Słońce na betonie, jasne rozgrzane mury, niebo głębokie i czyste — i oni, dwie czarne figurki, przytulone do smukłego chłopca w furazerce.

Tego dnia zadzwonił do mnie Jerzy i w słuchawce obco brzęczały jego słowa, gdy mówił:

— Są afisze. Rozumiesz? Mobilizacja. — Czego chcesz? — zacząłem krzyczeć. — Cóż ja mam przez to rozumieć? Mobilizacja? Niech więc będzie i tak. Zostaw mnie w spokoju.

— Pytam, co zamierzasz robić? — nastawał jego głos w telefonie. — Wojna o krok.

— Ach, zostaw mnie w spokoju — powtórzyłem raz jeszcze. — Nic nie zamierzam robić. Ona robi z nami wszystko.

Popołudnie spędziłem na ulicy. Ludzie szli zwykłym spiesznym tłumem. W Krucą skłębali oddziały wojska w hełmach, z muzyką. Zaczęli biec za nim, dziewczęta stawały na chodnikach. — Niech żyją! — krzyknął jakiś pan z łaską, w słomkowym kapeluszu. Wlokłem się za nimi do Piusa; tu było ciszej. Nianki z wózekami drepnęły w stronę Alei. Orkiestra skręciła i umilkła, żołnierze wybijali krok po bruku, przebijając nogami na skraj. Z lewej strony wyjechała dorożka z dwoma pijakami. Leżeli w niej objęci, jeden wystawiał rękę do góry i wrzeszczał. Zostałem nagle sam. Tu znów nie było wojny. Wróciłem. Biegiem przed siebie aż do Nowogrodzkiej. Minąłem ślepca, który sprzedawał grzebienie i chłopców grających pod ścianą w trzy karty. Na rogu Brackiej stali ludzie przed afiszem. Wytknąłem nos zza pleców jakiegoś robotnika. Obce ciała ścisnęły mnie z dwóch stron, czułem ich pot. Było mi z tym dobrze. Za mną trąbiły auta, tłum coraz to potraçał naszą grupkę. Wciąż przepychał się ktoś nowy i wlepił wzrok w afisz. Były na nim groźne słowa. Wiedziałem, że przejdą do historii wraz z nami, co staliśmy tutaj zmęczeni i mruklivi. Widziałem profil młodego mężczyzny, który zagradzał mi plakat ramieniem. Odwróciłem się powoli i spotkałem jego twarz nad opaloną robotnicą szyją. Spojrzałem na mnie trochę sennie i tępo, mrugając oczami. Czułem, że mrugam tak samo. Widać historia lubi w ten sposób patrzeć z ludzkich twarzy.

Nie poszedłem tego dnia do Marianny. Wieczór przyniósł ostry dzwonek u naszych drzwi i twarz mojego brata, który jechał na wojnę. Siedzieliśmy we czworo przy stole — rodzice, on i ja. Zachowywał się nieco dziwnie. Śmiał się zbyt głośno i słowa podkreślał gestami, których nie używał nigdy przedtem. Potem wstał i zaczął chodzić po pokoju wzdłuż i w szerz wielkimi krokami, w rozpiętym mundurze polowym. Wodzilśmy za nim oczyma. Palił dużo i ciskał niedopałki byle gdzie.

— Trudno — mówił i zatrzymywał się przed nami, rozkładając ramiona — cóż mamy do stracenia? Życie? Są rzeczy, które liczą się więcej. Tego dłużej nie podobna znieść. Wóz albo przewóz. Jestem gotów.

I na znak, że jest gotów, krzyżował ramiona na piersiach.

Jakże inny niż dawniej był tego wieczoru mój brat! Patrzałem na jego krótką śniadą rękę i chciałem pogadzić ją końcem dłoni, tak aby tego nie spostrzegł. Na jego ramionach świeciły gwiazdki, a na koźnierzu wisił srebrny zygzak, z którego niedawno byliśmy tak dumni. Ale ja wiedziałem, że go to nie obroni przed złem i nie ustrzeże od kuli jego chorych piersi.

— To będzie piękna wojna — rozprawiał uśmiechnięty. — Mamy czyste sumienia. Dawniej mówiliby się, że Bóg jest po stronie naszych batalionów. Ale to prawda: jeśli jest Bóg, musi nam sprzyjać. To będzie wojna transcendentalna. Gra idzie o wszystko. O duszę człowieka.

Milczeliśmy, a on na nas nie patrzył i bębnił palcem w zamyśleniu o parapet okna. Nie całkiem był z nami, wydawał się daleki i jakby roztargniony. Chciałem zawołać: „Słuchaj! Niedawno jeszcze w parku graliśmy w piłkę do dołka. Ty byłeś Francją, a ja krzyżem! Vocator! Pamiętasz?” Ale wiedziałem przecież, że były to dawne czasy i że teraz

gwiazdka na naramiennikach dawała mu prawo zginąć na otoczonej pozycji, jeśli nie zechce się poddać przeważającym wojskom. Był już w jakichś potężnych rękach, które nie pamiętały o jego dzieciństwie; w czyjejś władzy, która zapewne od niego zażąda ofiar, o jakie nigdy nie prosiłaby go nasza matka. Ale on nie czuł się pokrzywdzony i stał z ręką opartą na kaburze pistoletu — obcy, lepszy od nas i już jakby wsłuchany w świst pocisków, które wkrótce przelecia nad jego głową.

Zegar w jadalni bił powoli północ, gdy matka pakowała rzeczy, których byłby zapomnieli. Zapinał szybko mundur i ścisnął się pasem, uśmiechając się do nas tym samym uśmiechem, z jakim niegdyś wyruszał na piśmienną maturę.

— Uważaj na siebie — słyszałem jak szepce mu matka. — Masz tu ciepły szal. — PrzYGARNĄŁ JĄ SZYBKO I ROZEŚMIAŁ SIĘ, A ONA POŁOŻYŁA MU GŁOWĘ NA PIERSI I ZNÓW ZOBACZYŁEM HISTORIĘ, KTÓRA ZMUSZA LUDZI DO PODOBNYCH GEŚTÓW.

— No, komu w drogę... — śmiał się mój brat nakładając czapkę.

— To nie potrwa długo — zapewniał ojciec; a potem cicho coś mówił ściskając mu skronie.

— Odprowadzę cię, pozwól... — powiedziałem w drzwiach. — Daj mi walizkę.

W wielkiej hali dworcowej łatwo było się zgubić. Ludzie, stłoczeni pod olbrzymimi stropami, wydawali się drobnymi i bezradnymi; mętne, wysokie światła powiększały przestrzeń. W płowym, mglistym mroku wibrował rojący się w dole tłum, ukazując czasem jakąś twarz zmiętą snem lub błysk okutego daszka. Dym wisiał w parnym powietrzu, głuchy gwar niósł się ciągną fala i huczał pod sklepieniem.

Przeciskaliśmy się przez zbity tłum mundurów do dyżurki. — Proszę o przeświecenie! — wołał mój brat, a ja przepychałem się za nim, trzymając go za rękę. Pod jakąś ścianą w kącie, jak kupa zgrzebnych worów, leżeli żołnierze. Ich podkute buciory wystawały spod płaszczy; ludzie potykali się o nie, klnąc. Ktoś cicho grał na organkach, ktoś inny chrapał oparty na plecaku, czyjaś czarna, sękatą pięść sterczała nieruchomo spod głowy. W skroniach kręciło mi się od brzęczącego szumu, więc przysiadłem obok, żeby odpocząć, jak w przydrożnej chałupie. Cierpki zapach skóry, brezentu i chleba wydał mi się bliski.

— Panowie jedziecie na wojnę? — zagadnąłem serdecznie strzelca, który owijał sobie łydkę pasmem burego sukna. Nikt mi nie odpowiedział, tylko żołnierz pod ścianą odjął od ust organki, a śpiący zabelkotał przez sen.

— Graj Józie! — odezwał się półgębkiem strzelec z owijaczem i wyciągnął drugą nogę. — A pan gdzie jedziesz? — mruknął do mnie nieufnie, krzywo patrząc spod daszka na mój dwurzędny garnitur. I gdy milczałem, splunął rzeczowo na posadzkę, aby zakończyć znajomość bez niczyjej ujm. „Kaczki za wodą, gęsi za wodą...” grał Józiek z łokciem opartym o hełm.

— Jadę zaraz — wołał do mnie mój brat i przepychał się w tłumie, chowając papiery do kieszeni na piersi. — Zapalmy jeszcze.

Staliśmy pod ścianą, dotykając jeden drugiego ramieniem. Szybko, głęboko zaciągałem się dymem. Widziałem jego usta i cienki, sławy wankocz, który piął się prosto z jego ręki. Chciałem dotknąć tej ręki, powiedzieć mu coś, albo zajrzeć w oczy. Ale twardy daszek czapki rzucał na nie cień. — Słuchaj, — zacząłem — czy ty...

W tej chwili jednak rozległ się koło nas nagle wzmógłony gwar i krzyki. Siwy, czerwony porucznik w starym płóciennym mundurze z roku 20 wypadł z dyżurki wojskowej i krzyczał, machając papierami, które trzymał w ręku.

— Słuchaj pan! — wrzeszczał do urzędnika w czerwonej czapce — to ma być mobilizacja? Smród, nie mobilizacja! Od dwóch dni czekam na pociąg do Słomimia! Oni mówią, że mamy honor, ale nie dają nam pociągów! Gówno z honoru bez pociągów! To jest wojna. psiakrew, nie zjazd legionistów, panie, albo dancing-bridż! Mam rozkaz! — Machał papierem i krzyczał, nie widząc, że patrol żandarmerii idzie w jego stronę przez tłum, który ucielił nagle.

— Będzie kasza — mruknął koło mnie żołnierz z owijaczem. — Graj Józiek „panne Franciszkie”.

— Transporty już szwankują — szepnął do mnie brat. — Trochę za wcześnie na początek. Ale nie. Ta wojna jest nasza. Zobaczysz. — I dodał gasząc papierosa: — Byłbym zdążył.

— Słuchaj, czy ty... — przysunąłem się do niego blisko i dotknąłem ręką szorstkiego rękawa. — Czy ty umiesz bić się? Czy nauczyli was tam czego na ćwiczeniach? — Szybko mrugał oczami, aby dostrzec jego usta, które zamazywały mi się w dymie.

Uśmiechnął się. — Bić się? A nie pamiętasz, jak biliśmy się w parku po lekcjach? Zawsze dostawałem po głowie.

— Tak, — westchnąłem — masz rację. Zawsze dostawałem po głowie. Ale czy...

— Bądź zdrow. — Pociułem nagle pod ustami jego koźnierz pachnący wojną.

— Zostań z Bogiem.

— Idź z Bogiem.

Potem długo zniknął mi w tłumie płynącym na peron. Odwrócił się raz jeszcze i pokiwał mi ręką. Stałem wciąż pod ścianą, szukając jego czapki, która gineła wśród tylu innych podobnych. Widziałem, że przy wyjściu śmiał się i już z kimś rozmawiał. Traciłem go powoli; jeszcze kilka kroków, i był już po tamtej stronie. Jak gdyby nagle przedzieliły nas surowe prawa, które mu rozkażą być bratem dla innych.

— Mus, panie szanowny — odezwał się naryż blisko głos spod ściany. Strzelec owinał łydkę i pokrzepił mnie niespodziewanie serdecznym uśmiechem. — Brat?

Usiadłem koło niego.

— Brat — szepnąłem ze wstydem i zwiesiłem głowę na piersi.

— No to graj, Józiek, „Jak to na wojence” — rozstrzygnął poważnie i wyjął manierkę.

Przed nami wciąż płynął tłum. Stukały kolby, dzwoniły bagnety. Megafon huczał górą. Gwoździe podkutych butów zgrzytały na kamiennych płytach. Daleko świsnął pociąg, biorąc kurs na zachód.

Pierwszy głos mojej wojny nie był hukiem dział. Przepałem poranny nałot w dniu wybuchu. Dopiero radio wyrzuciło z siebie słowa Prezydenta, którego twarz widywałem w pismach w góralskim kapeluszu i którego uśmiech od dawna nie budził we mnie ufności. Wróg wtargnął w granice Ojczyzny, kiedy ja spałem w łóżku z kołdrą zaciągniętą pod brodę. Gdzie był wówczas mój brat? Pozazdrościłem wszystkim, których wojna spotkała szczerzej i prawdziwiej, niż owym głosem starca z drewnianej skrzynki i hymnem nadanym na płycie. Słuchałem z zamkniętymi oczami, usiłując ujrzeć dalekie gniazdo cekemu i pochyloną nad taśmą twarz w żelaznym hełmie, z którą tak niedawno rozstałem się na dworcu. To pewnie już się działo.

— Mamy czekać — telefonował Jerzy. — Informowałem się w komendzie. Ukaże się rozkaz o powołaniu nieprzeszkolonych na specjalny kurs. Halo! Słyszysz? Jest dobrze. Minister rozmawiał z ojcem. Wszystkie ataki odparte. Nasza kawaleria wali na Prusy Wschodnie. Zaopatrzył się w maskę. Słyszysz? Minister mówił ojcu, że...

— Słysz! — krzyczałem w aparat. — Niech mi ten twój minister da maskę, bo niłkt mnie w nią nie zaopatrzył. Chodzę z gołym pyskiem. I niech szybko powołają ten kurs! Przecie z nożem kuchennym nie pójdę na wojnę.

Katowice, Częstochowa. Katowice, Częstochowa, Mława, Śląsk. Miasta i ziemie nie chowały się cofać wraz z wojskiem. Widziałem zgarbione plecy ojca przy odbiorniku. Siedział z rękami opartymi na kolanach, nie patrząc na mnie; jakbym to ja go zasmucił wieścią o odwrocie. Matka schylała się nad robotką, którą chciała skończyć tego wieczoru, mimo że mój brat opuścił tyle wsi i miast. Wybaczęła mu to łatwo, jak niegdyś zle cenzurki w szkole i poprawkę z fizyki w klasie szóstej. Ojciec tylko brał wszystko zbyt poważnie i garbił się nad skrzynką, z której jakiś baryton ostrzegał przed niebezpieczeństwem liter M, D i cyfry 4, krzyżąc: — Uwaga, nadchodzi, przeszedł!

Porządek panował w Warszawie w te pierwsze dni, gdy czekaliśmy pomocy narodów przyjaznych.

3-ci wrzesień. Tego dnia mówiłem Jerzemu: — Dziś spełnił się mój wojny mocarstw o Polskę. To, o czym marzyły nasze powstania i emigracje, stało się ciałem w sto lat później. Ale historia, mój Jerzy, toczy się dość zawile. Pamiętasz „tysiąc walecznych” witałych z placem w niemieckich miasteczkach? Tym razem będzie inaczej. Ileż zła musi kosztować jedna spełniona nadzieja!

Radio grało Marsyliankę. — Uwaga! — ostrzegał aksamiitny baryton — W-O 3 nadchodzi. — Ojciec Jerzego odebrał telefon z ministerstwa, że Anglicy zbombardowali Hamburg, Bremę, Królewiec i Szczecin. Wstaliśmy poruszeni.

— Nie mają, — sapnął ściskając wszystkich po kolei — nie mają już portów. To jest dla nich ważniejsze niż dla nas kłasztor częstochowski.

— Rozumie się! — krzyczał Jerzy i obejmował mnie. — Słuchaj! Trzymajmy się razem, psiakość, a będzie dobrze!

Potem całowali się między sobą, a ojciec Jerzego dzwonił do ciotki Pauliny i mówił, że Niemcy nie mają już portów. Ciotka Paulina jednak miała wiadomości z ambasady, wobec których tamte błądy. Właśnie wybiera się osobiście. Zapanował wesoły nastrój, radio grało „God save the king”; wszyscy stali się dla

siebie serdeczni, matka mego przyjaciela przyniosła dla każdego po kieliszku wódki.

— Jest pan przyjacielem mego syna — trącał się ze mną ojciec Jerzego — to wystarcza, że pragniemy z panem wspólnie dzielić losy tej wojny.

— Tak jest — kłaniałem się wzruszony, niezręcznie wznosząc kieliszek. Rozległ się gwar na schodach, krzyki i dzwonek u drzwi.

— Oto ciotka Paulina z nowinami z ambasady — podniósł wesoło palec ojciec mego kolegi i ruszył otwierać.

Ale to nie była ciotka Paulina z nowinami z ambasady. Gruba dozorczyń wpadła do pokoju i wrzasnęła, łapiąc ustami powietrze jak karp: — Gaz! Gaz! Ratować się! — Po czym wypadła do sieni i słyszałem, jak łomocze pięścią do sąsiednich drzwi, a potem leci dalej, zawodząc, na górne piętra.

— Maski! — krzyknął ojciec Jerzego, chwytając się oburącz za skronie. W kamienicy zakotłowało się od płaczków i nawoływań. Ludzie krzyczeli na ulicy, biegnąc; tupot pośpiesznych kroków dochodził zza okna. — Pogotowie gazowe! — wrzeszczał komendant bloku z sąsiedniego balkonu.

Stałem sam pod drzwiami i modliłbym się o życie, gdyby nie myśl, gdzie jest Marianna. Ona także nie miała maski. Jerzy nie patrzył na mnie, mocując się z puszką. Potem widziałem, jak wyjmując z niej maskę i ostrożnie podnosi ją do oczu. Nie sądziłbym, że ten ruch może tak wiele znaczyć w przyjaźni dwóch ludzi. Patrzałem w posadzkę, nie chcąc, aby mój wzrok mu przeszkodził. W chwilę później miałem przed sobą wszystkich troje — dziwaczne potworki z kiszkami zamiast nosów. Ich oczy mrugały zza okragłych szkielec, jak gdyby zdziwione, że oto stoi przed nimi ktoś tak inny: ja z nieosłoniętą twarzą, którą mógł dusić fosgen.

Nie było gazu. Czy była jeszcze przyjaźń? Jerzy miał twarz bladą jak płótno, gdy po zdjęciu maski spotkał mój wzrok. Ale patrzyłem na niego bez żalu; z namysłem. Ludziom bez masek zbyt łatwo oskarżać tych, co mają maski. Okrutnie bolesna myśl trapiła mnie długo potem: jakbym zachował się wówczas? Gdyby przypadek dał osłonę mnie, a ja go zostawił bezbronnym? Wielkie i powszednie pytanie tej wojny stanęło przede mną otwarte. Wierność sumieniu czy cudze życie? Własne bezpieczeństwo, czy pomoc drugiemu? Niewiedzialnie i nieubłagane niosła nas wojna w dziwny świat conradowskich przygód.

Nadeszły dni ucieczki. W jakąś noc wypędzono nas z ojcem na plac pełen ludzi z łopatami. Staliśmy w szeregu, potem gnano nas w ciemnościach i ojciec potykał się o kocie łby. — Weź łopatę na ramię — poradziłem, widząc, że zostaje w tyle. — Prędejsz, prędejsz! — naglił ktoś zdyszany, lecąc po ciemku obok nas. Trzymaliśmy się pod rękę, ojciec ciążył mi i czułem, że zaciska usta z wysiłkiem. Miał słabe serce. Dreptaliśmy objęci, potykając się o nierówny bruk, obaj z łopatami na ramieniu, obaj krótkowzroczni; pocieszna para macająca niepewne ciemności, maruderzy w miękkich kapeluszach, którzy dawali się wyprzedzać wszystkim. Zgubiliśmy się w końcu i przystanęliśmy, ocierając pot. Wokoło było pusto. — Dogonimy ich, — pocieszał się mój ojciec — zatrzymają się przeciw wreszcie. — Słyszałem jak łapie oddech, aby powstrzymać zbyt pośpieszne serce.

— Co panowie tu robią? — Obok nas wynurzyła się nagle chuda postać z łopatą. Poznałem studenta z przeciwnika.

— Mamy kopać rowy — odpowiedziałem niepewnie. — Ale zgubiliśmy się. Odpoczywamy tu sobie. A pan skąd?

— Kopać rowy? — zachichotał student. — Kolego! Dziękuj pan Bogu, żeście się tu zgubili. Tamtych pędzą za miasto, na Garwolin, bo jakiś mariał powiedział przez radio, że mężczyźni mają opuścić Warszawę. Wracajcie panowie do domu!

— Jaktó: opuścić Warszawę? — nie pojmowałem od razu. — Takżaraz? Bez niczego? Przecież nawet nie pożegnałem się z matką. I po co opuścić? Opuścić, i co dalej?

— Ja panu tego nie powiem. Niemcy podobno blisko. To pewne. Co do mnie — wolę wyjść z wojskiem za dnia, niż z gówniarzami w nocy. Na razie wracam do domu.

— Jednak zarządzenie władz, rozkaz... — wątpił mój ojciec, stawiając lekki opór.

— Władz? — zniżył głos student. — Jutro już może nie być władz. Odwrót, klęska, rozumiecie panowie? Mówią, że... — zawahał się przez sekundę.

— Że?... — szepnąłem ze drżeniem.

— Że już nie ma rządu — dokończył ponuro i wielkimi krokami zaczął się od nas oddalać.

Wziąłem łopatę ojca i niosłem dwie na ramieniu. Drugim podpierałem go ostrożnie, bo szedł coraz trudniej. W domu matka pochylała się mu do nóg, rozsznurowując zakurzone buty. Siedział mniejszy niż zwykle, z poszarzałą twarzą. Brwi miał podniesione dziwnie wysoko nad przymkniętymi oczami. Trudno być synem, kiedy na świecie wojna.

Wyjątki z rozdziału opowieści o Warszawie pt. „Miasto niepokonane”.

Ale rząd był jeszcze w Warszawie. Naza-jutrz na południe stałem na rogu przed „Gastronomią”, myśląc, że dobrze byłoby zobaczyć Mariannę, która tak blisko, w Muzeum, układała stare obrazy w skrzyniach z trocinami. Prywatne auta z walizkami na bagażnikach wymykały się wtedy przez jasny, szeroki most.

Wśród nich dobrze znany samochód zagro-dził mi drogę. Zapadła, biała twarz w general-skiej czapce sterczała przy szoferze; te szklane żrenice wepchnięte w oczodoły patrzyły na tłum; palce przebiewały niespokojnie po błyszczących drzewkach. Miałem przed sobą przez chwilę górną połowę szefa rządu, z której za parę godzin miały wyjść słowa nadane przez radio: „Do widzenia po skończonej wojnie!” Auto ruszyło w Krakowskie, mijając zakręt, za którym z daleka widniały bloki Muzeum. Tam Marianna pochowała przed momentem „Trąbki” Gierymskiego w dużej, drewnianej skrzyni. Rozmodleni Żydzi nad Wisłą leżeli teraz na wznak w trocinach, wznosząc oczy do nieba, nad którym wbijano gwóźdź. Poglaskała skrzynię myśląc: „Do widzenia po skończonej wojnie”.

Na ulicy tramwaj zakręcał powoli. Siedzia-łem przy oknie z głową opartą na ręku. Bujne korony i czarne pnie prosto wiodły niebo do mojego domu. Myślałem o kraju, który roz-kładał się za miastem, o smutnych polach, na których świt staniał w niskiej, białej mgłę. Wojna była zbyt ciętym losiem tej ziemi. Zbyt często bitwy zastawały tutaj żółte zboże na pniu. Próbowałem myśleć historycz-nie, rozstrząsać stracone okazje, których nie dostrzegł jakiś dawny król; ale wciąż wracał mi do głowy ten sam bezbron-ny pejzaż: kręte miedze pod lasem, tłuste gawrony na burym ściennisku i wozy skrzy-piace w koleinach piaszczystego traktu, pod wieczór, gdy kaczki z krzykiem siałady na stawach. „Oto moja ojczyzna” — przemysli-wałem sobie, — „otwarta, uległa ziemia, któ-rą lubi trątować wróg. Nasza historia, to dzie-je drzew i zawrozenie wiejskiej studni, gdy drewniana żerdź skłania się powoli, jak szyja żorawia. Nasze fortece, to sosnowy las, prze-tykany wątkiem brzozy u skraju. Stadko wron skrzeczy nad rzyskiem, kreśląc czarne koła — jedyna flota powietrzna mojej bied-nej ziemi. I było tak zawsze, niezmiennie: gdy wódz z buławą umierał w chłopskiej cha-cie, gdy wódz w sukmanie przysięgał Bogu na rynku i kiedy wódz na koniu ginął w fa-lach rzeki”. Nazwy bitew mieszały mi się w głowie, tramwaj zgryzał po szynach, gdy jechałem tak, smutny, z całą Polską w o-czach.

Na rogu Filtrów ujrzałem pierwszą ba-rykadę. Przecinała prosto jezdnię od muru do muru. Tłusty, brunatny piach leżał i grzał się w słońcu. Z boku, pod ścianą domu stał żoł-nierz w hełmie, oparty o karabin jak o pług i patrzył sennie w długi rów, jak w świeżo wyorany zagon.

Wojna wzięła mój dom w twarde karby. Pojawili się obcy ludzie z opaskami na rękawach i wyszła wówczas na jaw straszna rzecz, że w kamienicy nikt nie pełni dyżurów. Ka-zano mi siedzieć na dachu, patrzeć w niebo, gasić ewentualny pożar i głośno przy tym krzyczeć, że gaszę. Potem przyniesiono mi fo-tel z mieszkania komendanta, siedziałem więc w fotelu biedermayer na wierzchu kamieni-cy. Trwało to trzy godziny dziennie.

Telefony były jeszcze czynne. Pewnej nocy, kiedy padła Łódź, zadzwonił Jerzy, aby mnie pożegnać. Auto było już gotowe do drogi na wschód. Głos przyjaciela brzmiał z głębi ciemności, gdy mówił mi, że wojna nie potrwa długo. Rozbudzony nagle, żegnałem go jakby w rozstargnieniu. — Tak, tak, Jerzy, do wi-dzenia. Na pewno nie potrwa długo. Bądź zdrow.

Wydał mi się nagle bardzo daleki i już nie-obecny, mimo że jeszcze był blisko. Ale tych, którzy odjeżdżali na zawsze, przesurwało się za jakiś próg pamięci, odkładało się na dłu-go potem, gdy huk dziejów umilkł w na-szym dniu powszednim. Zostawaliśmy ra-zem, — my, związani miastem i troską. I wszystkim, co miało stać się w przyszłości.

Każdy dzień zwał na nas nową otchłań kłębski. Wsie i miasteczka wędrowały ulica-mi Warszawy, odpoczywając po bramach, na podwórzach i pod murami domów. Na-ród zgity pod tobołami włókł się w kurzu i skwarze, pchając wózki z pościelą, pędząc przed sobą krowy, kozy i cielęta, dźwigając dzieci przy piersi. Polska spod lasu i znad miedzy, Polska z błotnistych rynków powia-towych, ze straganu na jarmarku, wyległa na żółte szosy ciągnąc ku nam moczolnym, sku-rzonym tłumem. Warszawa wpuszczała ją w swe progi, witając rozkopaną jezdnią, na której leżał przewrócony tramwaj, sklepem zabitym deskami i chwilą wymarłej ciszy pod wysokim, śpiewnym warkotem wrzesniowego nieba. Chude chłopskie koniki człapały po Gró-jęckiej machając smutnymi łbami, żrebał spłoszył się w tłumie i uciekał na cienkich nogach z wysoko zadartym ogonem. Bezbron-na i pieszka, wierząca w cudy i dopusty węd-rowała Polska szerokimi ulicami miasta.

Czego tam czy nie widziały! Słowa wier-szy i pieśni cisnęły się na usta, pamięć szuka-ła inwokacji narodowych rymów, aby opła-

kać tę wzniosłą, bosą dolę nóg poranionych o kamienie. Oto zgarbiony konopiasty chło-ppek z kijkiem leszczyny pędzi smętne krowy na Saski Plac koło Sztabu, bo dziedzic wyjeź-dzając powiedział: „Pilnuj Gacek tych krow, a gdyby co, na Plac Saski w Warszawie do sztabu popędź i powiedz bratu, majorowi, żeś Gacek z Kalenia i dla wojska dworskie kro-wy pędzisz”. Krowy ryczą w tłumie na rogu Marszałkowskiej, a Gacek pyta ludzi, gdzie Sztab.

Oto stary Żyd, prowadzony pod ramię przez pejsatego chłopca. Raz tylko spojrze-łem mu w oczy i cofnąłem się, tyle w nich było męki. Białą, obrzękłą twarz w czarnym kapeluszu trzymał trochę skośnie na tłustej szyi i szedł wolno, osobliwy w swej czerni, boleśnie zdany całą postacią na chudego wy-rostka w czapeczce. — Skąd panowie? — Z Wielunia. — Zatrzymali się obaj na mo-ment i stary jednym spojrzeniem spod unie-sionych brwi opowiedział mi wszystkie dzie-je tej drogi z Wielunia.

Ale z Grójeckiej skręca niecodzienna gru-pa. Trzej młodzi chłopcy na koniach, dwa czarnobiałe wyżły i żółty, gładki chart. Pyta-ją o drogę do koszar szwoleżerów. — Nie ma już szwoleżerów w Warszawie — odpowia-dam. Jakaś dziecinna ksiązka o białych róż-ach i chłopcach, co szli na wojnę, wracała mi do serca, gdy widziałem ich szczupłe opa-lone palce na rzemiennych cuglach. Wyżły obwachiwały mi spodnie, chłopcy naradzali się szeptem, konie tarły się łbami o łby. — A Warszawa będzie się bronić? — Żołnierze na placzyku ustawiali karabin maszynowy w gnieździe z pękających worów; oficer w heł-mie lornetował niebo. Wskazałem ich ręką. Warszawa będzie się bronić.

Na podwórzu mojego domu stała grupka lokatorów, patrząc, jak Ignacy Sułek spod Sieradza wypręga konia z wozu i prowadzi go w stronę pustego garażu, który odtąd mu będzie służył za stajnię. Sułek należy do lu-dzi małowównych, którzy energię duchową wolą wcielać w akty praktyczne niż w słowa. Dlatego garaż zajął bez pytania, nie marnu-jąc słów, po prostu — materialnym faktem u-stawienia w nim kobyły łbem do ściany. Do-zorca patrzył nań przez chwilę z niepewnym szacunkiem, wreszcie podszedł i zapytał ra-czej dla informacji niż z chęci zaczepki:

— To pan garaż za końskie stajnie urwa-żasz?

Sułek nie zaprzeczył i zamyślił się na mo-ment, obracając w palcach drewniany kołek, który zamierzał zużyć na zatyckę w osi.

— Masz pan scyzoryk — mruknął dozorca z niesmakiem — widzisz pan, że za gruby. — I patrzył posępnie, jak Sułek ostrzy kołek i przyciera do osi.

Życie w oblężonym mieście zaczęło po-woli się skupiać w piwnicach i na pod-wórzach. Niebo brzęczało nad nami coraz częściej. Maleńkie, srebrne krzyżki ślśniły wysoko, w powolnym warkocie mijając nasz dach. Oblóczki zenitówek kładły się na ich drodze jak różaniec, wykwitając nagle w głuchych stękniciach. W nocy czu-waliśmy na zmianę w czarnym kącie bramy. Uchodźcy mruczełi przez sen, zbudzone dzie-cko zapłakało czasem w pieluchach. Na pod-wórzach stał chudy student z rękami w kiesze-niach i gapił się w niebo. Koń Sułka chrapał w garażu. Z ciemności wynurza się dozorca i wzdycha:

— Dranie, pogodę mają, a naród krwawi. Niedobra sprawa, panie szanowny. — Szuka-łem gwiazd, które lubiła Marianna i uczyłem się ich na pamięć jak stolice obcych krajów. Wysoko nad moim domem płynął Wielki Wóz.

— Nie poszedł pan z wojskiem? — spyta-łem raz studenta, który włóczył się jak zwy-kle po dziedzińcu na nocnym dyżurze. — Nie boi się pan zostać? Już nie ma prawie męż-czyzn w Warszawie. Wyniosło wszystkich za Wisłę.

— Wróć — mruknął niechętnie i podniósł chudą, ponurą twarz, jakby nasłuchując cze-gos.

— A jeśli nie? — niepokoiłem się, szukając jego wzroku — a jeżeli nie wróć? Może front ustali się na Bugu i oni zostaną tam? A my tu. Rozumie pan? My tu...

— Głupstwa — wzruszył ramionami i od-szedł parę kroków. Stał nieruchomo, dłuższy niż zwykle w sinym świetle, z uchem czujnie zwróconym w przestrzeń. Umilkłem, by na-słuchiwać wraz z nim Daleki huk niósł się na miasto. Spojrzeliśmy na siebie. Długi, po-wolny świst zanucił bliżej. Ciężka brama wzdrygnęła się z grzechotem. — To począ-tek — powiedział student. — Wstrzeliwują się w miasto. Znam się na tym.

— Grzeja, że proszę — wyłonił się z ciem-ności smętny głos dozorca, który siedział z Sułkiem na ławeczce w bramie. — Co za ludzie, Matko Święta. Masz pan, pal, póki jest coś. O... — ucichł nagle, bo nowy pocisk leciał nad dachami i pęczniał rosnącym świe-tem. — O... Słyszysz pan? Nie popuszczaj! Flu, marny losie ludzki. — I splunął na zle-mię jak na własny los. W garażu rżała kobyła Sułka.

Pamięć miesza mi ów wrzesień z innym, późniejszym wrzesniem, gdy strach, huk, noc i niebo były tak podobne. Mógłbym opisać

dzień po dniu zdarzenia krwi, dymu i ognia, które przetoczyły się wówczas przez miasto; ale pragnę zostawić im drogę powtórna — ostatnią. Czy zdoła ogarnąć was zgroza na wieść, że pewnej nocy obce czołgi wdarły się w Grójecką niemal pod mój dom? Lub ra-dosć, że żołnierz, który zielonym hełmem czerpał wodę ze studni, zabił ulicznik z O-choły jednym celnym strzałem? Wiecie, że padła Warszawa. Wiecie, że nie obronił się Paryż. Aż nadto dobrze znać dzieje tej woj-ny, mądrzejsi o tyle wrzesni i jeszcze smutni po wrzesniu ostatnim. Nie przestraszę was pierwszym trupem ulicznym rozplaszczonym na bruku przez pocisk, ani białą dziewczyną na noszach, która umierała, płacząc, że umiera. Nikogo nie wzruszę i nikogo nie zdziwię smu-gą mlecznej drogi rozpiętą na niebie w te no-ce, gdy przynosili do naszej bramy wiejskich chłopców z okopów, jęczących w malignie, z brzuchem rozprutym przez szrapnel. Noce i dnie przevalały się po nas, jak nagle, szyb-kie piekła. Znać warcząca melodię nieba i skośny gwizd motorów celujących w ziemię; komu z nas byłby obcy furkot powietrza na torze granatu? Jeszcze i dzisiaj czasem pul-suje nam w sercu cisza ścięta zgrozą, na myśl o sekundzie huku przed sekundą ulgi. Czym ja tu was zadziwię? Wszystko przed nami. Wszystko będzie jeszcze. Poisk, który leci teraz nad Ochotą, rozewie się za pięć wrzesni nad dachami Powiśla.

Możemy się najwyżej zadumać nad twardą duszą Ignacego Sułka, który postanowił wzo-bogacić się na wojnie. Czynił to konsekwentnie, wzbogacał się powoli i milcząc, lecz w spo-sób niewątpliwie materialny. W godzinach najstraszliwszego natarcia Sułek ginął bez śladu i dozorca, który zdążył się do niego przy-wiązać, chodząc oswiały mówiąc wszystkim:

— Już po Sułku! Kobyła, panie, w garażu rży jak nad mogiłą. Nieszczęście zwierzę czu-je nawet na nie swoim miejscu. — I wskazy-wał na garaż, machając żabobnie ręką. Ale Sułek wracał żywy, ciągnąc za sobą krowę, a kiedyś indziej gniałego żrebca w wojskowej uprzęży. Dozorca jeżył wąsy w niezmiernym poruszeniu i kiedy Sułek z nowym stwore-niem powoli szedł w stronę garażu, sapał z pewną dumą:

— Patrzcie, śmierzdz! Ciemne to, ale do złodziejstwa ma rozum, losie marny. — W krótkim czasie garaż żył nową egzystencją i budził rano cały dom rżeniem i porykiwa-niem.

Wrzesień dobiegał ostatniej dekady w ro-snącym huku dział. Warszawa broniła się sa-motna, odcięta od wszelkiej pomocy, prze-szyta na wskroś straszliwym gromem, który wydrzątał nocą i dniem przetokę nocom i dniom nadciągających pięciu lat. Nie wie-dzieliśmy o niczym. Śmieszne wieści podtrzy-mywały naszą upadłą nadzieję na czas jedne-go zmierzchu, na sen jednej nocy. Była to Łódź, którą odbito, lub Ren, przerwany w kil-ku miejscach, czy kukła w hełmie wystawio-na z okopów przez chłopców z Kopieńskiego, na którą głupi Niemcy otwierali ogień. Radio całego świata ogłaszało wciąż tę samą wieść: „Warszawa płonie. Warszawa walczy”. Ale my nawet nie wiedzieliśmy o tym, wtuleni nocą w ciemną niszę bramy, gdy szyby z o-kien leciały w kruchym dzwonieniu na bruk. Nie czuliśmy dumy z pierwszego oporu tej wojny. „Warsaw is burning” — znaczyło dla nas łunę nad Świętokrzyską, gdzie w żydow-skiej księgarni płonęły skrypty prawa cywil-nego i „Pan Tadeusz”, zatłuszczony przez palce piątklasistów, oraz „Trzech muszkie-terów” Aleksandra Dumas. Któż, kto nazywał wówczas nasze miasto słowem „Varsovie”, mógłby się domyśleć smutnego szumu kasza-nów na uniwersyteckim dziedzińcu, w noc, gdy w aulach konał żołnierz? Okrutna kwa-rantanna niewoli odgrodzi nas wkrótce od świata. Warszawa broni się, jeszcze, w jej do-mach giną ludzie, trupy końskie rozrywa się na mięso gołymi rękami, głodne psy waleśają się skomląc, kobiety w piwnicach zawodzą: — „Wieżo z kości słoniowej, pocieszycielko strapiionych, módl się za nami”. A my nocą nie przysięgamy nawet zemsty; myślimy tylko: „Oto jeszcze jeden dzień. Miasto się broni. Kiedy przyjdzie pomoc?” I zasypiamy przed świtem, słabi, bezradni, z głową skolatana hukiem; nieświadomi otchłani, którą ów wie-czer rozwiierał nam na pięć samotnych lat, bez pomocy znikąd.

Przyszły wrzesień dwa ostatnie dni. Pamię-tacie je dobrze. Samoloty właśnie pojawiały się nad miastem i zaczęły usilnie wwiercać się w niebo i w mózgi moczolnym, wysokim zaśpiewem. Było ich wiele. Nad śródmieściem ślaniały się szare dymy, niebo powlokło się niską, brzemienią chmurą, mroczny pułap zwisał nad dachami. Ale to nie koniec: War-szawa broni się jeszcze, Warsaw is fighting, Warsaw is burning, vive Varsovie! Skrzy-dła ciężkie błękit bolesnym rykiem motorów; wypadały z chmur skośnym, okrutnym rzu-tem, aby wnikać w węglistą smugę mgły nad raz już ugodzonym domem. Stamtąd dawały znać o sobie rudym słupem wybuchu. Płonęły kamienice Śródmieścia.

Druga doba miała w ciągłym brzęku nie-ba. Mury osuwały się na bruki jak trafieni ludzie, ściany zwały się na ludzi jak płyty grobowców.

STANISŁAW PIĘTAK

Do matki

A więc znowu zostaliśmy sami, starszko. W pokrywach trzmieli gniew, a u siwizn łopucha ważki na lotce tęczy mrą — i niebo słucha. Przytrzymaj się cienia, upadasz chorą nóżką.

Gram w słońce z dębem i drzewo rąbię dla ciebie. Poczekaj — włosom łwoim z promieni zaszczipię broszkę. Zasygniesz w lipcowym, błękitnym lepie i tak na dnie studni młodą zobaczysz siebie.

Nie trzeba w trwodze drzeć o mnie, a ty lży ronisz. Ja wiadro ci wezmę, zaniosę, nie spłoszę cienia... Nachyl się, słuchaj, w Rosji w boju coś się zmienia. Pojedziem jeszcze po mą stawę w łysięg koni.

TADEUSZ KUBIAK

Tu

Tu, gdy rozkroisz piach pługiem, o kość ludzką zagrzyła lemiész.

Tu wieczory są siwe, długie, w kół skrzypieniu, w kurów pianiu — drzemiesz.

Mgło znad Narwi, łożo znad Wisły, białe kaczki zza wód — pamiętasz? Tu światłem pod okno przyszły zielonobluzie chłopięta.

Harmonijka grała na przyzbie, w sianie stodoł gruchał karabin — Gdybyś wyszedł w mojej ojczyźnie w polu grabić — żagwie byś grabił!

Chłopięta zielonobluzie, śmierć w liczy na palcach codzien. Harmonijkil Kwiały pod gruzem! Matki trup zagrzebany w ogrodzie...

Harmonijka grała na przyzbie strzelbie, dziewczynie, ojczyźnie. Uspiała zielonobluzych, kolysała kwiały pod gruzem... ..gęsi za wodą, kaczki za wodą...

Harmonijko, graj — śpiewać chcą młodzi! Nocny kraj...

Księżyc wschodził.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

W ogrodzie

W białym ogrodzie maluj owoce, przez biały ogród zamieć przenieś, w białym ogrodzie jabłoni topoce, o biały na głowę wółam wieniec.

Z podniebnej białej pościeli w dłonie oberwij gołębi rozol. Popod konarem wiatr go obiali na majowy kwitnienia kolor.

Czy brniemy w puszystym śniegu, zasypani kwiatami w słońcu? Zepchnięły przez biały biegur, wzbijam niebogłosy skowroncze.

Najczerwieńsze kwiały równe pocalunkom nad przepaścią marzenia stoją. Wiałrom umkną, mym dłoniom nie umkną — owieją głowę moją.

— Świeć Pamię nad ich duszą — szepnął mi w ucho dozorca w krótkiej chwili ciszy. — Już po Sułku! Nie ma chłopca. Znow krasie po-leciał. Słyszysz pan, jak stworzenie ryczy w ga-rażu?

Ale samoloty znow wracały nad miasto; nie słuchałem więc. Pionowe gwizdy zakotysały domem jak burtą okrętu; szukaliśmy ręką oparcia, rozkraczeni pod ścianą, by wytrzy-mać nowy przypływ podmuchów. W kącie piwnicy przycupnęły baby wiejskie, zamarte ze strachu, chłopci mrugali z tobołów żółtymi rzesami z tępych, żmudnym namysłem. Gwizd znow się wdrąga w kregosłup zimnym, ciem-nym dreszczem. Dym i kurz wdierały się przez okna. Dom dostał w skraj lewego skrzy-dła potężny ładunek huku. Cały drzał jeszcze. Wyleciałem na podwórze, bury był zasypał mi oczy, krzyczałem podobno czyjeś imię, ga-raż trząsał się od ryków jak arka Noego; pa-miętam, że ojciec złapał mnie za rękę, gdy wyrwywałem się na ulicę, aż wreszcie nie wiem po jak długiej chwili, ocknąłem się nagle w powszechnym milczeniu żywiołów. Od bramy, w świeżo opadłym kurzu, kroczył spokojnie Ignacy Sułek z białą kozą. Był tro-chę zamyślony i ukłonił się nam w rozstargnie-niu, a koza zabeczkała, wykręcając łeb.

Zmierzch szybko zapadał w duszny, roz-grzanym powietrzu. Noc upłynęła w milcze-niu. Staliśmy przy oknach, patrząc na łuny nad miastem, które żarzyły się szeroko, wspie-rając ciemne niebo na swych paleniskach. Warszawa już nie broniła się tej nocy. Ła-godny powiew niósł nam dymy śródmieścia. Miasto odpoczywało wśród pożarów. Liczy-liśmy je, mówiąc: Wola, Czerniaków, Nowy Świat. Godziny nocy wlokły się nad nami ciężko w chmurnym, niskim prochu. Rozległa łuna poziomo siała się po niebie, wiotką, ró-żową mgłą. Nie. To był świt. Wojenny świt warszawski.

Kazimierz Brandys

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

O mickiewiczowskiej „Donnie Giovannie“*

Charakterystyczną cechą niewielkiego sto-sunkowo dorobku twórczego Mickiewicza w zakresie tzw. „utworów drobnych“ jest znaczna liczba pozycji o charakterze dedy-kacji, których adresaci sygnowani są jedynie za pomocą inicjałów, bądź krótkich objaśnień. żywo przypominających formułki stosowane przez czasopisma w rubryce „Odpowiedzi od redakcji“.

„Niepewność — Do XX“, „Sonet do XX“, „Sonet do M.“ (w autografach), „Do M.“, „Do Maryi P.“, „W imionniku S. B.“, „W imion-niku ***“, „Do Doktora S. przedsiębiorczego podróży naukową do Azji itd.“, „Nieznajomej siostrze Przyjaciółki mojej“, „Do imionnika A. S.“, „Do mojej Przyjaciółki“, „Do ***“, „Do mego Czczerona“, „Do H***“, „Do Laury“, „Do...“, „W imionniku K. R.“, „Do M. S.“, „W imionniku C. S.“, „Do B. Z.“ i wreszcie, „Do D. D.“ (= „A la donna Giovanna“ w auto-grafie) i trzy inne wiersze z tegoż czasu, ozna-czone tymiż literami „D. D.“ — wszystko to są skróty, które, z wyjątkiem ostatniego z nich, dało się już odcyfrować. Co się zaś tyczy owe-go „D. D.“, stanowiącego, jak to już zostało wyjaśnione, połączenie liter początkowych słów „Donna Giovanna“ w ich polskiej wy-mowie („Donna Dziowanna“), to nie zdołano dotychczas należycie ustalić, kogo one wła-sciwie oznaczają. Przypisuje się je powszech-nie Karolinie Sobańskiej, ale, jak to usiłowa-łem już udowodnić, przypuszczenie takie zda-je się nie wytrzymywać krytyki. To ktoś inny ukryty został przez poetę pod tymi dwoma „D“, to komuś innemu, nie p. Sobańskiej, za-wdzięczać musimy powstanie cytowanych w poprzednim artykule pereł poetyckich. Ale komu? Otóż to właśnie, czas by już było na-leżycie wyjaśnić.

Różnie się można zapatrywać na celowość tego rodzaju dociekań. Można wychodzić z za-łożenia, że wartościowy utwór poetycki, jako dzieło sztuki, nie wymaga dla jego odbioru znajomości warunków i okoliczności, w ja-kich został on napisany czy pomyślany, jaka jest jego geneza, jakie podłoże uczuciowe. Dla zwolenników antybiografizmu, dla przeciwni-ków wszelkiej w dziele sztuki anegdoty, są to wszystko szczegóły marginesowe, sprawy pozaartystycznej natury, a więc — w odnie-sieniu do twórczości poetyckiej — nie mające znaczenia.

Można jednak ujmować to zagadnienie i z innego nieco punktu widzenia, uważając, że pewne momenty, o charakterze biograficz-nym, mogą mieć niejednokrotnie wpływ i na ocenę stopnia doskonałości danego utworu. O wartości osiągnięcia artystycznego w znacznej mierze decyduje tak stopień wykorzystania właściwości danego materiału, jak i spo-sób jego obróbki. Materiał stawia swe wyma-gania i decyduje o technice i o możliwych do osiągnięcia efektach. Na jakiejś, na przykład, „martwej naturze“, koszyk wiklinowy musi być koszem wiklinowym, szklanka — szklanką szklaną, dzban gliniany — dzbanem z gliny, a materiał jedwabny — jedwabiem. A obok tego, jeśli już szukać analogii w dziedzinie sztuk plastycznych, nawet w jakiejś reprezen-tacyjnej „kompozycji“ Picassa, nawet w bar-dziej jeszcze abstrakcyjnych, bezfabularnych obrazach, zawarty jest również pierwiastek pewnej anegdoty, w postaci przenikających się wzajem przedmiotów czy figur geometrycznych: schematycznego rysunku gitary z pro-filem dzbanu lub z konturem prostokątnej ra-my okiennej, bądź to przecinania się paru linii falistych z trójkątem ekiemki albo z okrę-giem koła. Anegdota — w gruncie rzeczy taka sama, z innego tylko materiału uszyta. Dla właściwego odbioru pełni jej treści, dla zro-zumienia całego jej sensu i dowcipu, znać mu-simy i kształt gitary, i dzbanu, i ramy okien-nej, i ekiemki, i koła. Tylko znając rzeczywi-sty wygląd każdego z tych poszczególnych elementów powziąć możemy zdanie o wartości artystycznej całej kompozycji. Rzecz prosta, że poza tym, czy też obok tego, wchodzi tu w grę i cały szereg innych, nie mniej istot-nych kryteriów.

Analogicznie przedstawia się ta sprawa i w dziedzinie twórczości poetyckiej. I tu zna-jomość materiału niezbędna jest do oceny wartości wykonania. Weźmy dla przykładu takie chwytły, jak porównania, epitety, prze-nośnię. Jakiż może być ich odbiór u tego, kto nie zna wystarczająco dokładnie ich części składowych? Co komu powiedzieć takie zwro-ty, jak: „szyja łabędzia“, „twarz piękna jako Przemienienie Pańskie“ lub „sokole skrzydła“, jeśli ten ktoś nie widział nigdy łabędzia, nie wie, co to jest i jak wygląda „Przemienienie Pańskie“, i nigdy nie słyszał nic o sokole?

Ale jak dla właściwej oceny wartości jakiegoś porównania konieczna jest znajomość przedmiotów porównywanych, tak dla oceny wielu innych chwytów stylistycznych nie-zbędne jest poznanie okoliczności, w jakich chwytły te zostały przez autora użyte, oko-

liczności — nieraz czysto biograficznego cha-rakteru. Tak na przykład, w cytowanym ty-lekroć wierszu albumowym, który w złośliwy sposób spowodował opisane przeze mnie po-tnięcie się szeregu historyków literatury, Mickiewicz przyrównawszy siebie i osobę, do której w wierszu tym się zwraca, do dwu spotykających się ze sobą łodzi, mówi: „Twoja, barwą nowotną i pancerzem lśniąca“ itd. Otóż, inaczej niewątpliwie wypadnie nasza ocena wartości artystycznej owego określenia łodzi, jako „pancerzem lśniącej“ w wypadku zastosowania tego zwrotu — jak to było w rze-czywistości — do oficera gwardii, inaczej zaś, jeśliby miał się on odnosić — jak chcieli tego do niedawna komentatorzy — do kobiety.

I dlatego jesteśmy zdania, że tyle nici łą-czyć może tę czy inną stronę danego utworu poetyckiego z towarzyszącymi jego powsta-niu czynnikami pozaartystycznymi, że pomię-dzy zawartością wiersza, pomiędzy jego stron-ą znaczeniową, a jego podłożem życiowym, jego atmosferą duchową czy uczuciową, istnieć może tyle nieznanych nam jeszcze fi-liacji, iż poznanie i uwzględnienie wszelkich okoliczności, mogących mieć jakikolwiek wpływ na taki lub inny charakter rozpatry-wanego utworu, nie może być uważane za czynność jawową, za trud nieużyteczny. Prze-ciwnie, jest to praca konieczna, bez której nie podobna wyznaczyć wielu utworom Mic-kiewicza właściwego miejsca w dziejach je-go twórczości i życia. I dlatego podejmujemy oto próbę odcyfrowania owego zagadkowego „D. D.“, próbę ustalenia istotnego oblicza tej wielkiej miłości i jej zasięgu w dorobku twórczym poety, jak również i poznania z imienia i z nazwiska osoby, tak dobrze ukrytej przez Mickiewicza pod powyższymi inicjałami, że dotychczas nie udało się, mimo różnych prób, wydobyć jej na światło dzienne. Kogóż zre-sztą nie nęci chęć rozwikłania podobnej za-gadki?

Jak widzieliśmy, omawiane inicjały stano-wią skrót słów „Donna Giovanna“, to znaczy: „Pani Joanna“, przy czym imię to może mieć dwojakie znaczenie. Albo imię to nosiła istot-nie owa „D. D.“, albo też — zostało ono jej na-dane przez autora poświęconych jej liryków ze względu na podobieństwo sytuacyjne do Giovanny z „Vita Nuova“ Dantego. W tym drugim wypadku imię ówczesnej bogdanki poety pozostałoby nadal nieznane.

Któż nam jednak powie, które z tych dwu znaczeń należy tu wziąć pod uwagę?

Dwa szczegóły pozwalają na powzięcie w tej mierze pewnych wniosków: po pierwsze, uży-ty przez Mickiewicza w sonecie „Jastrząb“, a więc w stosunku do jakiejś towarzyszącej podróży krymskiej, zwrot „Giovanno“, i po wtóre, ostatnie dwa wiersze sonetu „Pożegna-nie — Do D. D.“, gdzie, po wierszu „Gdyś szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawo-jem“, mamy uwagę: „I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspominał twe imię“. Tym imieniem może być tylko imię „Laura“, przy-wołane na pamięć przez słowo „laur“, Ponie-waż ma to miejsce w utworze oznaczonym ty-miż literami „D. D.“, stąd wniosek, że oba imiona, to jest i Giovanna (Joanna), i Laura, odnoszą się do tej samej osoby.

Trudno przypuścić, aby i jedno i drugie z tych imion mogło być równocześnie użyte w znaczeniu imienia literackiego, i to tak roz-powszechnionego jak Giovanna Dantego czy Laura Petrarcki. Jedno z nich jest więc, we-dług wszelkiego prawdopodobieństwa, imie-niem własnym interesującej nas postaci. Ale które?

Nie łatwo dać odpowiedź na to pytanie. Główną trudność nastrocza tu fakt, że ani w listach poety, ani w jakimkolwiek innym znanym nam źródle informacji nie znajduje-my w tej mierze żadnego wyjaśnienia. Dalszą trudność stanowi okoliczność, że omawiane imiona posiadają równe niemal szanse do fi-gurowania tak we właściwym, jak i w prze-nośnym znaczeniu.

Mówimy „niemal“, gdyż pod rozważanym tu względem zachodzi jednak pomiędzy nimi pewna różnica. Nie badaliśmy specjalnie kwe-stii rozpowszechnienia w interesującym tu nas okresie tych czy innych imion, nie wiemy też, czy istnieje u nas jakaś praca w tym zakre-sie. Ale z tego, co nam pamięć podpowiada, wnioskujemy, że imię „Joanna“ było wówczas znacznie częściej spotykane, niż imię „Laura“. Tak na przykład, oprócz wymienianej w każ-dej biografii Mickiewicza, Joanny Bonawen-turowej Zaleskiej, znane nam są, z czasów je-go pobytu w Odessie, jeszcze dwie inne Joanny, należące również najprawdopodob-niej do grona ówczesnych jego znajomych; natomiast, nie napotkaliśmy tam nikogo, kto by miał imię Laury. Ponadto imię to, w zna-czeniu literackim, przenośnym, jest bez po-równania popularniejsze niż imię Giovanny. Z tego też względu zakładamy, że „Joanna“ było to imię własne miłości odeskiej Mickie-wicza, „Laura“ zaś nazywał on ją w znacze-niu symbolicznym, jako imieniem zapożycz-o-nym od Petrarcki. Nie wyłączone jest jednak,

choć bardzo mało prawdopodobne, iż w rze-czywistości sprawa ta miała się wręcz od-wrotnie. Przedzej już przypuścić można inną jeszcze ewentualność, tę mianowicie, że ma-my tu do czynienia z dwójgim imion wła-snych, to jest, że nasza „D. D.“ to jakaś Jo-anna Laura.

Przyjmujemy więc, że imię interesującej nas osoby jest nam znane. Ale to dopiero je-den, chociaż bardzo ważny szczegół. Cóż nam wiadomo o niej poza tym?

Otóż informacji w tym względzie mogą nam dostarczyć dwa tylko dostępne dotychczas źródła: szczegóły zakomunikowane Aërowi (A. Rzażewskiemu) przez samą panią Sobańską (recte — p. Lacroix), oraz te dane, jakich do-starczyć nam może treść poświęconych tej jakiejś „pani Joannie“ utworów. Przypom-nijmy tedy najprzód, co mówi nam o niej owo pierwsze źródło.

Jakkolwiek p. Sobańska nie należy do liczy-by osób, których prawdopodobność nie podlega zakwestionowaniu, i jakkolwiek w rozmowie z Władysławem Mickiewiczem zapewniała, że Aëra informowała w ten sposób, aby „nic mu nie powiedzieć“, to jednak podane przez nie-go szczegóły nie zdają się być zmyślone. We-dług nich, ową „Donną Giovanną“ nie była ani p. Sobańska, ani p. Bonawenturowa Za-leska. Miała to być jakaś inna osoba, **młoda i wielce urodziwa mężatka i również Polka z urodzenia**. Gdy Mickiewicz, który, jak wia-domo, dłużej niż pozostali uczestnicy podróży pozostał był na Krymie, wrócił do Odessy, przedmiot jego miłości **wyjechał miał już wraz ze swym małżonkiem do Petersburga**. W dal-szym ciągu znajdujemy jeszcze u tegoż autora informacje, że zerwanie stosunków pomiędzy p. Joanną a poetą nastąpić miało wskutek zbyt licznych już i zbyt jawnie po Odessie krązą-cych **plotek, które puszczala jakoby w obieg omawiana już w poprzednim artykule hr. Gu-riew**, zazdrosna rzekomo o polskiego wieszca.

Tyle tylko potrzebnych nam wiadomości dostarcza pierwsze z wymienionych źró-deł. Co się tyczy szczegółów, jakich dostar-czyć nam może odpowiednia analiza poświę-conych tej miłości utworów, to przede wszyst-kim ustalić by należało, które z wierszy Mic-kiewicza dadzą się do tej kategorii zaliczyć. Bo wpływ owej odeskiej miłości poety sięga, naszym zdaniem, znacznie dalej niż zdawałoby się to wyznaczać powyższe, figurujące przy niektórych wierszach, literki „D. D.“.

Zacznijmy więc nasz przegląd od tych nie-wątpliwych pozycji. Pierwszą z nich to wiersz „Do D. D.“ („Moja Pieszczotka, gdy w weso-łej chwili“). Zespół użytych tu przez poetę wy-rażeń: „Pieszczotka“, „pocznie szczebiotać i kwilił i gruchać“, „i „skówka“, i „oczki“, i „ja-gody“, i „perłowe ząbki“, i „oczeta“ — wszyst-ko to daje nam obraz bardzo młodej kobiety, jeszcze niemal dziewczęcia, o wesołym, fi-glarnym usposobieniu. Następną pozycja — „Do D. D. — Elegia“, rzuca sporo światła na dzieje tego, zakonspirowanego przez Mickie-wicza, stosunku. Elegia ta robi wrażenie do-kumentu, w którym utrwalona została prze-łomowa jakaś w tych dziejach chwila, jakiś naruszający naraz dotychczasową harmonię dysonans, jakaś nagle powstała, głęboka rysa. Już nie prośbę, lecz wprost błaganie słychać w słowach poety, usiłującego na klęczkach zażegnać jakąś godzącą w jego szczęście de-cyzyję ukochanej. „Gdybyś ty na dzień jeden była w mojej duszy...“ mówi, pełen gorczy i objasnia: „Myśli me na torturach, w uczu-ciach mych burza“. I zapewnia ją: „Ty mnie nie znasz, namiętność zaćmiła me lice: Ale spojrzij w głąb duszy! Tam znajdziesz skarb-nice czułości, poświęcenia, łagodnej dobroci i wyobraźni, która ziemską doleżi“. A nie-co dalej wzdycha: „O, gdybym zyskał pew-ność, że jestem kochany, Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany“. I rozłącza przed jej oczyma obraz przyszłego ich poży-cia: „Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazi, Żyłyby twoje wypełniać, zgadywać rozkazy“. Gotów się jest nawet poniżyć: „Choć duma przyznać się zabrania, Sługą będę; cóż miałbym do rozkazywania?“ Gotów — wyrzec się nawet wspomnień przeszłości: „Pamiętki nawet serce głęboko zagrzebie, Aby nigdy nie czuć oddzielnie od ciebie“. I kończy: „Pły-nęlibyśmy cicho po życia przestrzeni, Chociaż-by los groźnymi falami powiewał. Jak syrena-bym nad nie wzbijał się i śpiewał“.

Wyraźnie więc jest tu mowa o połączeniu się ze sobą na zawsze, o przyszłej wspólnej doli. On miotany jest głębokim uczuciem, ona — „szczęśliwe stworzenie“ — zdaje się na zimno traktować całą sprawę. Ona — nie kłęczy i nie błaga. O stosunku jej do wybu-chów poety świadczą jego słowa: „Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem, Albo lękasz się nudy z żalosnym natrętem“. Szanse są nierówne, zaangażowanie — nie-jednakowe, a cała sytuacja — typowa dla mo-mentu poprzedzającego powzięcie jakiejś de-cyzji, dokonanie jakiegoś ważnego wyboru.

Dalej mamy sonet „Do D. D. — Wizyta“. Dowiadujemy się z niego, że ukochana poety

mieszka we wspaniałych apartamentach, gdzie jest i „galonowy“, i gdzie drzwi nie zamykają się za wizytującymi.

Wreszcie, również sonet — „Pożegnanie — Do D. D.“. Jak sam tytuł wskazuje, jest to punkt końcowy omawianego stosunku. Szczególnie wiele mówi nam o jego charakterze pierwsza zwrotka: „Odpychasz mię? — czym twoje serce już postradał? Lecz jam go nigdy nie miał; — czyli broni cnota? Lecz ty pie-szczisz innego; — czy że nie dam złota? Lecz jam go wprzód nie dał, a ciebie posiadał“. Mamy więc tu przede wszystkim potwierdze-nie naszego domysłu wysnutego z treści „Elegii“: zerwanie następuje ze strony „D. D.“, której miłości nigdy on nie był posiadat. Wzmianka o nowym już jej kochanku, jak i o dawaniu „złota“, zdaje się wskazywać, iż ma się tu do czynienia nie z osobą z tzw. „to-warzystwa“, lecz raczej z jakąś kurtyzaną, z kobietą lekkich obyczajów. Chyba że słowa: „Czy że nie dam złota“ rozumieć przenośnie, jako równające się powiedzeniu: „Czy że nie będę ci mógł zapewnić dobrobytu“. A obok tego okazuje się, iż ów ideał poety igrał z je-go „szczęściem i pokojem“, pragnąc „po-chwalnych wierszy“. Wreszcie, w zakończeniu tego sonetu, mamy właśnie cytowane już wy-żej słowo „laur“, wywołujące w autorze wspomnienie imienia ukochanej.

Rozpatrzyliśmy utwory, których związek z interesującą nas osobą jest rzeczą całkiem pewną. Przechodzimy teraz do wierszy, gdzie związek ten ma jedynie cechy większego lub mniejszego prawdopodobieństwa.

Wychodząc z założenia, iż „literackie“ imię Laury w odeskich erotykach Mickiewicza od-nosi się już nie do Maryli (jak to było na przykład w dawnym jego sonecie pt. „Przy-pomnienie“), lecz do tejże „D. D.“, zaliczamy do liczby utworów jej również poświęconych i sonety: „Do Laury“ oraz „Ranek i wieczór“. W przeciwieństwie do „Pożegnania“, stanowią-cego finał rozpatrywanej przez nas miłości, sonet „Do Laury“ ukazuje nam jej moment początkowy. Zgodnie z panującym dotychczas poglądem i my uważaliśmy swego czasu ten wiersz za utwór odnoszący się do Maryli, wszelkie bowiem pozory zdawały się o tym świadczyć. Odkąd jednak, w rezultacie bacz-niejszego przyjrzenia się szczegółom i uświa-domienia sobie okoliczności towarzyszących narodzinom i przebiegowi miłości odeskiej, zaczęliśmy w postaci Zosi z „Pana Tadeusza“ dopatrywać się nie tylko rysów zapożycz-o-nych od Maryli, lecz również i pewnych cech właściwych obiektowi „południowej“ miłości, zmieniliśmy na jego korzyść swe zdanie o rze-czywistej adresatce tego sonetu. Istotnie bo-wiem okoliczności poznania się zawarte w po-czątkowych dwóch wierszach pierwszej zwrotki oraz w pierwszej tercynie, okoliczności, budzące tyle wątpliwości u komentatorów omawianego sonetu, zyskują, naszym zdaniem, całkiem przejrzysty komentarz w scenach księgi pierwszej „Pana Tadeusza“, zatytuło-wanych w „treści“, jako: „Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu“. „Ledwie cię zobaczył, jużem się zapłonił...“ w sonecie, wykazuje wyraźną analogię do sceny, kie-dy to Tadeusz, zaraz po przyjeździe do Sopli-cowa spotyka się po raz pierwszy z Zosią w jej pokoiku, i kiedy to: „Twarz podróżnego bar-wą spłonęła rumianą“. Podobnie i zagadko-woy na pierwszy rzut oka zwrot: „W niezna-nym oku dawnej znajomości pytał...“, staje się zrozumiałym w świetle doszukiwania się przez Tadeusza w przybyłej z opóźnieniem na wie-czerzę w zamku Telimienie owej spotkanej o parę godzin wcześniej, w pokoiku, piękno-ści. Co się tyczy natomiast treści pierwszej tercyny, to odpowiednikiem jej będą wiersze 648—653 tejże księgi pierwszej, gdzie mamy również odmalowane symptomy nawiązują-cych się uczuć pomiędzy dwójgim romantycz-nymi nastrojonych i dopiero co ze sobą zazna-jomionych osób. A słowa: „Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją...“, zdają się jeno ilustrować sytuację, identyczną do perypetii miłosnych Tadeusza i Telimieny, od przery-wających im czułą rozmowę: „cap!“ Rejenta i Wojskiego „placki“ na muchy, aż do wiania się w ich intymne sprawy Hrabiego w cha-rakterze rywala. Wymienione wiersze w inny jeszcze sposób łączą się z twórczością odeską poety. W odnoszących się do Tadeusza (w sce-nie z Telimeną) słowach: „Usty chwycił jej westchnienie i okiem łowił wszystkie jej wzroku promienie“, słycać jak gdyby echa erotyku „Dwa słowa“: „Gdy sam na sam z tobą siedzę, Nie mam czasu o nic pytać: Patrę w oczy, ustek śledzę; Chciałbym wszystkie myśli czytać Wprzód, nim w oczetach zaświeca; Chciałbym wszystkie słówka chwycić Wprzód, nim od ustek odleca...“. I ten więc erotyk skłonni jesteśmy zapisać na dobro owej „D. D.“. Wyraźne jednak podobieństwa frazeologiczne i sytuacyjne (na przy-kład: „Wstrzymując oddech“ i „oddechem nie władną“) zdają się wiązać przytoczone sceny oraz scenę powtórnego spotkania się Ta-deusza z Zosią, po powrocie z polowania, już

* Por. „Łudzilem despotę...“ Mickiewicza a deka-bryści“ w nr 65 i „Czy nie koniec bałamutnej le-gendy? Mickiewicz i pani Sobańska“ w nr 66 „Od-rodzenia“.

W salł jadalnej (księga V, wiersze 200—224), z sonetem II, ściślej, z pierwszym jego czterowierszem: „Mówię z sobą, z drugimi płacząc się w rozmowie, Serce bije gwałtownie, oddech nie władną, Iskry czuję w żrenicach, a na twarzy bladej; Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie“ (a w poemacie: Telimena, „czas upatrzywszy, ku niemu podbiega: Czy zdrow? dlaczego smutny? pyta się, nalega...“). A wszak wiadomo, że Telimena, to postać późniejsza dopiero do poematu wprowadzona, że pierwotnie nie ona, lecz Zosia miała siedzieć przy Tadeuszu podczas wieczery w sali jadalnej zamczyska. Dopiero w toku pisania dalszych ksiąg Mickiewicz zmienił dotychczasowy plan i wprowadził do akcji Telimenę. Ale wiele jej cech charakterystycznych, jak to staraliśmy się swego czasu wykazać, przeszło z Zosi, to znaczy i z jej pierwowzoru, na Telimenę (por. mój artykuł „Telimena a Zosia“, drukowany w „Bluszczu“, w r. 1934). Jak tedy widać, sonet II również był pisany z myślą o „D. D.“.

Wróćmy jeszcze do sonetu „Ranek i wieczór“. Jest to przykład utworu, w którym zmianie redakcji rękopiśmiennej na drukowaną towarzyszy i zmiana adresatek. Możliwe to jest jedynie w utworach posiadających jakąś ogólnikową, nieosobową treść, dającą się zastosować do każdej kochanej kobiety, pod warunkiem jedynie odpowiedniej zmiany imienia lub wymaganych przez sens, drobnych korektur. Tak więc w autografie omawianego sonetu pierwszy wiersz drugiej strofy brzmi: „Marya wyszła patrzeć na wdzięki poranku“; w druku zaś mamy: „Laura błysnęła w oknie, ukłękła na ganek“. Dla nas znamieną jest ta zmiana imienia, zmiana, nie polegająca na zamianie imienia własnego przez imię „literackie“, lecz na zamianie imienia własnego danej osoby na równie imię własne osoby innej. Podobnie miała się sprawa z balladą „To lubię“, napisaną dla jakiejś młodzieńczej miłości Mickiewicza, Johasi, a w wersji drukowanej skierowaną do Maryli. Wobec tych przykładów nie wykluczona jest ewentualność, że i inne jeszcze jakieś utwory poety mogły być ulec podobnej metamorfozie.

Skorośmy już stanęli na stanowisku, że sonet „Do Laury“ zwrócony jest nie do Maryli, lecz do jakiejś odeskiej jej następczyni, zobaczmy, jakie jeszcze odnoszące się do niej dane dadzą się z niego wysnuć. Szczególnie ciekawy jest pod tym względem autograf tego wiersza, gdzie mamy pierwszą jego redakcję. Zawarte w tercynach oświadczenia poety: „Bo chociaż znam przeszkody, które nas rozdwoją“, oraz „Ślub ziemski już innego darzy ręką twoją, Lecz mi Bóg wprzód jeszcze poślubił twą duszę“, pozwalają wnosić, że Mickiewicz poznał był ową Laurę jeszcze jako pannę, na krótko przed jej wyjściem za mąż, i że z tym zamałpójściem łączyło się widmo przymusowej rozłąki. Ten ostatni szczegół pozwala przyjąć, że i wiersz „Sen“, z jego pierwszą zwrotką: „Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić, Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu, Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić i rozstając się nie mów o rozstaniu!“ — również nawiązuje do tej samej sytuacji i do tej samej osoby. Zresztą sytuacja podobna powtarza się w życiu Mickiewicza niemal stale. Pierwsza jego miłość młodzieńcza, jakaś szlachcianeczka z okolic Ruty, Cyryna czy Zasias, nazwiskiem bodaj czy nie Zuzia (Zuzanna) Kotłubajówna (nie „Józia“ i nie „Johasia“!), w parę lat potem poślubia stryjka poety, Felicjana Mickiewicza z Horbatowicz. Historia miłości do Maryli zbyt dobrze jest w ogólnych swych zarysach znana, aby ją powtarzać. Po identycznym niemal, jak widać, przebiegu interesującego nas tu uczucia, będziemy znowu mieli podobną sytuację w historii miłości do Ankiewiczówny. Kto wie tedy, czy i wiersz „Zaloty“, który odnosiliśmy dotychczas do czasów miłości tuhanowickiej, nie należy raczej do epoki odeskiej.

Do tejże kategorii utworów, powstałych na tle miłości poety do owej „Giovanny“, zaliczyć prawdopodobnie trzeba i sonety erotyczne: V, XIV („Dzieńdobry“), XV („Dobranoc“), a być może również i VII („Z Petrarkę“), i VIII („Strzelec“; por. wyrażenie: „Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszcze na wieki“ ze słowami listu Mickiewicza do właściciela Stebłowa, Hermana Hołowińskiego: „Oddalając się z Odessy, miałem nadzieję znowu odwiedzić Stebłowa, i w szanownym, przyjacielskim domu JW. Pana Dobrodzieja odechnąć jeszcze raz powietrzem Ukrainy, nim ją na długie czasy opuszcze“), i IX („Błogosławieństwo“), i XIII (tu warte zanotowania wyznanie: „Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni, Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze“), i sonet, zaczynający się od słów: „Rozeszliśmy się wczoraj...“, i wiersz „Rozmowa“, i wreszcie sonet IV („Widzenie się w gaju“; w redakcji rękopiśmiennej — „Rendez-vous w gaju Belv...“). Wyszliśmy swego czasu tezę, że odnosi się on do spotkań Mickiewicza w gaju bolciennickim z Marylą, już jako panią Puttkamerową (por.: „Tajemnica biletu Maryli“, „Ruch Literacki“ 1931, str. 201 i n.). Tezę tę przyjął m. in. prof. Kleiner w monografii „Dzieje Gustawa“. Obecnie jednak skłonni jesteśmy widzieć w nim raczej ślad innej, również do czasów kowieńskich odnoszącej się historii miłosnej. Nie zdziwilibyśmy się jednak, gdyby się okazało, że i ten

sonet wiąże się z osobą tejże „D. D.“. Fakt taki wydaje się tym bardziej prawdopodobny, że pomiędzy treścią „Widzenia się w gaju“ (zwłaszcza w jego wersji rękopiśmiennej), a balladą „Czaty“ — jak sam jej podtytuł „ballada ukraińska“ i czas napisania (rok 1827/28) wskazują — łączącą się z pobytami poety na południu Rosji — dadzą się dostrzec wyraźne pokrewieństwa. W tłumaczących tak późno przybycie kochanka słowach sonetu: „Błądną miałem drogę, Śród lasów, przy niepewnym księżycu promyku!“ (podkreślenia nasze), czemu w autografie odpowiadają słowa: „Tyle mil, w nocy ciemnej, na jednym koniku“, słyszemy początek jednej ze zwrotek ballady: „Ja na wiernym koniku, przy księżycu promyku, Biegnę tutaj przez chłody i sioły...“ Dalszy ciąg tejże strofy, brzmiący: „Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem Dobrej nocy i długiej pieszczoty!“, przywodzi na pamięć sonet „Dobranoc“, a w trzech poprzedzających przytoczoną strofę zwrotek tejże ballady znajdujemy sporo szczegółów znanych już nam z „Do D. D. — Elegii“, z „Zalotów“, ze „Snu“, z „Do Laury“, z sonetu V, ze „Strzelca“ i z „Pożegnania“.

Nie ulega natomiast, zdaje się, wątpliwości, że obie elegie: „Do D. D.“ i „Godzina“, wyrosły z jednego pnia. I to nie tyle z powodu identyczności formy (elegia) czy rozmiaru wierszowego (trzynastozgłoskowiec), ile ze względu na jakieś jednakowe rozkołysanie rytmiczne, na podobieństwo toku intonacyjnego, na jakąś wspólną obu utworom atmosferę uczuciową. Nie bez znaczenia dla naszych celów jest fakt, że w tzw. „Albumie Moszyńskiego“, gdzie znajdują się autografy obu elegii, „Godzina“ wpisana jest wcześniej i nosi tam podtytuł: „Elegia I“, „Do D. D.“ zaś figuruje o sześć stronice dalej. Nie jest to w zgodzie z różnicą sytuacji: w „Godzinie“ mamy już tylko wspomnienia minionego szczęścia i powrót do wzgardzonej niegdyś samotności; w „Do D. D.“ — klamka nie zapadła i ludzacy się jeszcze kochanek usiłuje w rozpaczę przechylić na swą stronę serce ukochanej.

Wreszcie pośrednie echa ówczesnej miłości poety znajdujemy w sonecie XII (por. pierwszą tercynę: „Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę, Ileż łez, jaki zapach, jaka niegdyś trwoga, I żal teraz na samą imienia jej wzmiankę“ z wierszem: „I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniawszy twoje imię“, „Pożegnania — Do D. D.“), w XVIII, w „Danaśdach“, w „Ekskuzie“, w „Pielgrzymie“, w sonecie „Poezyjo! gdzie cudny pędził twojej ręki?“ i wreszcie, w „Dumaniach w dzień odjazdu“. Ten ostatni utwór zdaje się być pod względem nastroju mocno zbliżony do obu omówionych elegii, zdaje się wyrastać z tego samego co i one pnia. Co więcej, wygląda na to, że z tego pnia pochodzi jeszcze jedna, znacznie później wyrosła i całkiem inaczej dotąd oceniana gałąź. Mamy tu na myśli znany wiersz „Do *** — Na Alpach w Splügen“, napisany w r. 1829 i uważany powszechnie za utwór stanowiący „ostatyczne pożegnanie Maryli“. Istotnie bowiem wszystko zdaje się przemawiać za takim jego charakterem. W świetle projektowanego przez Marylę wyjazdu za granicę, celem połączenia się tam z Mickiewiczem, wiersz ten mimo woli każe widzieć w nim obraz myśli, jakie nasunęło poecie wspomnienie tego właśnie zawodu. I świadectwo Odyńca, twierdzącego, że Adam napisał ten utwór pod wpływem nastroju wywołanego przez rozmowę o szczęściu małżeńskim, o dzieciach, o rodzinie (Mickiewicz miał się tu zasępić i popaść w długotrwałe milczenie, a w rezultacie — napisać ów wiersz) i słowa: „Szukam Litwy i domku twojego i ciebie“, i szczegół, na który niedawno dopiero zwróciliśmy uwagę, ten mianowicie, że podkreślana przez wymienienie jej w podtytułach data „24 września“ — to święto N. M. P., czyli — dzień Marii — wszystko to składa się na całkiem przekonującą na rzecz Maryli całość.

To trafne na pozór rozumowanie nie liczy się jednak z tym, że podobne co miłość tuhanowicka kolejie przechodzić mogło i uczucie żywnie przez poetę dla innej jakiejś kobiety; że nie jedna tylko Maryla mogła mieć swój domek na Litwie, bo kto wie, czy i owa „D. D.“ nie wyszła była za mąż za jakiegoś obywatela litewskiego. A o związku, jaki zachodzi między dniem napisania omawianego wiersza a imieniem Maryli, mógł Mickiewicz po prostu nie myśleć i nie wiedzieć. Tak się ta sprawa przedstawia w ogólnych jej zarysach. Jeśli natomiast zaczniemy ją szczegółowiej badać, to wątpliwości nasze co do trafności tradycyjnego na ten utwór poglądu będą wzrastały.

„Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę! Morzem płyniesz i łądem idziesz za mną w drogę, Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady, I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady, I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam, I postać twoją widzieć lekam się i żądam“. Cóż z tym wszystkim wspólnego miałaby mieć Maryla? Tylko pierwszy wiersz mógłby się do niej stosować; reszta — zgola do niej nie pasuje. Słów: „Morzem płyniesz i łądem idziesz“ nie można, naszym zdaniem, traktować jako równoważnik jeno słowa „wszędzie“. Mówią one raczej, że i podróż łądem, i podróż morzem, przypomina pocie

ukochaną dlatego, że niegdyś odbywał on był razem z nią podobne podróże. A wszak z Marylą nigdy po morzu nie płynął. Podobnie, sztucznie musiałoby się wydać szukanie na lodowcach (choćby w przenośnym tego słowa znaczeniu, zamiast — „na szczytach“) jej śladów, jak i dosłuchiwanie się jej głosu w „szumie alpejskiej kaskady“, skoro tego rodzaju dekoracja nie kojarzyła się we wspomnieniach Mickiewicza z osobą Maryli, jako że nigdy z nią wśród gór nie wędrował. I dlaczegożby włosy miały mu się tam jeżyć przy oglądaniu się, dlaczego miałyby się lekąć jej ujrzenia? Wszak rozstali się z nią jak najłepiej. Włosy by mu się miały jeżyć na myśl o możliwości spotkania tej, o której liście, otrzymanym w rok później, pisał był do Domiejki: „Twój list dawny, smutny odebrałem w Rzymie. Było tam kilka słów Maryli. Widok jej ręki tak mię upoił, że płakałem jak dziecko“?

Inne natomiast zupełnie wymowy nabierają te wiersze, jeśli się przyjmie, że chodzi w nich nie o p. Puttkamerową, lecz o osobę, której poświęcone były obie cytowane wyżej elegie, o towarzyszkę „podróży krymskiej“, odbywanej „morzem“ i „lądem“, wśród skał i wśród górskich strumieni (sonety: „Jastrząb“ i „Pielgrzym“), o przedmiot wreszcie miłości tak boleśnie zawiedzionej, tak brutalnie zerwanej, że przypadkowe spotkanie mogłoby postawić obie strony w wielce kłopotliwej sytuacji.

Nie pasują również do ówczesnej p. Puttkamerowej wyrzuty, jakie czytamy w środkowej części rozpatrywanego utworu. „Nie wdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady, Ty w tańcu rej prowadzisz wesołej gromady, Lub może się nowymi miłośkami bawisz, Lub o naszych miłośkach śmiejącą się prawisz! Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani, Niewolnicze schylając karki, zowią Pani! Ze cię rozkosz usypia i wesołość budzi I że cię nawet żadna pamiętka nie nudzi?“ („pamiętka nie nudzi“ znaczy tu — „wspomnienie nie trapi“). O ile zwrot „niewdzięczna!“ można traktować jako dalekie echo monologu Gustawa z „Dziadów cz. IV“, o tyle nie podobna wprost przypuścić, aby pozostałe wyrzuty miały się odnosić do sprawczyńi jego cierpień sprzed lat blisko dziesięciu. Kto zdawał sobie sprawę z warunków, w jakich obracało się w ciągu tych lat życie Maryli (a któż, jeśli nie Mickiewicz najlepiej był o tym poinformowany), kto wiedział i o jej, dwa lata podobno trwającym, „białym małżeństwie“, i o głębokiej melancholii, jaka ją coraz bardziej opanowywała, i o „kamieniach żaloby“ kładzionych przez nią w gaju bolciennickim, ten nie mógłby w żaden sposób posądzać Maryli o to, że w tym, 1829 roku, może ona być „królową biesiady“, i rej prowadzić w tańcu, i „nowymi miłośkami“ się bawić, i opowiadać komuś o ich minionych tak dawno „miłośkach“. „Miłośki...“. Nie, tym słowem nie mógłby poeta nazywać przeżyć, które wyczerpały ze skarbcza mowy naszej nieśmiertelnych „Dziadów część czwartą!“ I ani do „niebieskiej“, „Maryli“, ani do smutnej, dobrej „Peri“ bolciennickiej nie mogło się stosować jego twierdzenie, że ją poddani, „Niewolnicze schylając karki, zowią Pani“, i że ją „rozkosz usypia i wesołość budzi“, i „nawet żadna pamiętka nie nudzi“. Zbyt dobrze znany nam jest stosunek Maryli do włoskiej i do służby (dziwczyną pokojową, Rozalką!) stosunek, jaki Mickiewicz, bawiąc przez czas dłuższy w Bolciennickach, z pewnością zbyt dobrze był zaobserwował, aby pytać, czy do jej szczęścia potrzebne jest ich poniżanie się.

Wszystkie natomiast powyższe wyrzuty i zapytania byłyby zupełnie uzasadnione w stosunku do obiektu, znacznie od uczucia dla Maryli różniące się i o wiele świeższej miłości odeskiej. Owa „Giovanna“ istotnie mogła jeszcze być wówczas „królową“ (i królową najpewniej) przy biesiadnym stole, i przewodzić tańcom, i składać ofiary na ołtarzu bożka miłości. A i o ich stosunku mógłby się być rozgoryczony kochanek wyrazić jako o „miłośkach“. I jak dziwnie wierszem: „Lub może się nowymi miłośkami bawisz, Lub o naszych miłośkach śmiejącą się prawisz“, odpowiadają słowa elegii „Godzina“: „Ona teraz w czułej pieści dłoni Cudzą rękę, niewierna! i do cudzej skroni Usta ciśnie; i ża jej na cudzą twarz spada, I serce biciem cudzej piersi odpowiada: Dziś możeby tej nowej pary nie rozdzielił Piorun, który by we mnie przed progim wystąpił!“ Zwrotowi elegii: „niewierna!“ odpowiadają zwrot: „Niewdzięczna!“ w tym wierszu „alpejskim!“ A słowa: „szczęśliwe stworzenie“, którymi określa poeta w elegii „Do D. D.“ obojętną na jego cierpienia kochankę, jakże harmonizują tu ze słowami: „Ze cię rozkosz usypia i wesołość budzi“.

Zechcemy wreszcie porównać drugą połowę tejże elegii „Do D. D.“, zaczynając od słów: „Jak duch, przez dzielnej wróżki zaklęty wyrazi, Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy“, poprzez: „Sługą będę“ i „W twe ręce powierzywszy moją przyszłą dolę, Na twym złożymy łonie mój rozum i wolę“, aż do końcowego: „Płynęłbyś cicho po życia przestrzeni, Choćby los groźnymi falami powiewał, Jak syrena bym nad nią wzbijał

się i śpiewał“, z zakończeniem rozpatrywanego tu tak szczegółowo wiersza, od: „Ach! ja bym cię za rękę po tych skałach wodził, Ja bym trudy podróże piosenkami słodził. Ja bym pierwszy w ryczące rzucił się strumienie, I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie, I przesłabił twa nóżką wodą niedotkniętą, A całowaniem twoje ogrzałbym rączkę! Spoczynek by nas czekał pod goralską chatą; Tam zwieczoną z mych barków okryłbym się szatą, A ty byś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu, usnęła i zbudziła na moim ramieniu!“ (nawiasem mówiąc, czyż to nie jedna z najpiękniejszych pereł liryki miłosnej Mickiewicza?). Rezultat takiego porównania świadczy chyba aż nadto wyraźnie, że w obu wypadkach mamy do czynienia z tą samą historią miłosną, że prześliczna perełka „alpejska“ przez niedopatrzienie jeno łączona była z imieniem Maryli i że wpływ odeskiej „Donny Giovanny“ sięgał znacznie głębiej i dalej, niż nam o tym mówiono. Siegał on nawet i do — „Pana Tadeusza“.

Zebraliśmy tedy sporo szczegółów do naszkicowania sylwetki tej „Giovanny“. Uzupełnić je można jeszcze uwagą, że sądząc z treści sonetów: „Do Laury“ i „Poezyjo! gdzie cudny pędził...“, musiała ona być utalentowana pod względem wokalnym. „Ledwieś piosenkę zaczęła, jużem lży urońił, Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał“, czytamy w drukowanej redakcji pierwszego z tych sonetów, a w autografie wiersze te brzmią: „Ledwie pierwszy raz wdzięczny śpiewek twój zadzwonił, Jakobym w ziemi cudzej głos ojczyści schwytał“. W drugim zaś sonecie skarży się poeta, że i jego pióro „Na cudzej (ziemi) nie zna praw dawnego pana, I zamiast pieśni, znaki niepojęte kryśli: Muzyczne znaki pieśni...“ lecz ta pieśń, niestety. Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana!“. Być może, iż w tym jej kłuszkę widzieć należy jedynie rezultat obowiązującego wówczas wychowania. Możliwe jest jednak również, że była to po prostu jakaś zawodowa śpiewaczka, przybyła do Odessy na gościnne występy lub w innych jakichś sprawach. Mogłoby to nam tłumaczyć i jej nieco oryginalny stosunek do spraw i sprawek miłosnych, i skłonność do zmieniania adoratorów, i swobodę, z jaką przyjmowała kochanka o tej samej wiozą godzinie, pozwałała mu na wkroczenie rankiem do swej sypialni i na podawanie „sukienek“... Może tym się objaśnia i owa wzmianka o dawaniu złota?

Z właściwościami wymienionego zawodu artystycznego łączyć by się mogła inna jeszcze, niewyjaśniona dotąd cecha charakterystyczna twórczości Mickiewicza z lat 1825—1826, a mianowicie wybitny wpływ „włoszczyzny“. Dwie trzecie napisanych w tym czasie utworów drobnych posiada formę sonetu, gdy w całym dotychczasowym dorobku twórczym miał ich poeta tylko dwa („Do Niemna“ i „Przypomnienie“). Sąsiaduje z tym odeskko-moskiewskim okresem i nieco późniejszy przekład z Dantego i z Petrarki. Początek więc tej „włoskiej“ fali wiąże się jak gdyby z epoką poznania i utrzymywania stosunków z naszą „Donną Giovanną“. Ta włoska pisownia polskiego niewątpliwie imienia mogła mieć swe źródło po prostu w jakichś jej „Giovanny“, upodobaniach literackich, które, kto wie, czy nie utworowały były właśnie Mickiewiczowi drogi do zainteresowania się tak twórczością poetów włoskich w ogóle, jak i formą sonetu — w szczególności. Mógł być on jednak również nazywać tak po włosku swą ukochaną, składając w ten sposób niejako hołd językowi, jakim posługiwała się ona głównie, jeśli nie wyłącznie w swym zawodzie.

Ale skoro to była jakaś śpiewaczka zawodowa, a do tego, jak widzieliśmy, nie licząca się niemal z konwenansami towarzyskimi, to czym objaśnić też bezwzględnie przestępką przez informującą Aëra p. Lacroix dyskrecję, ów kategoryczny zakaz ujawniania w druku jej, p. „D. D.“, prawdziwego nazwiska? I to wówczas, gdy jej samej nie było już wśród żyjących?

Z tego też względu prawdopodobniejsza zdaje się być inna jeszcze ewentualność. Jak się okazuje, „język włoski w sferach handlowych ówczesnej Odessy był równie rozpowszechniony jak język francuski w wyższych sferach towarzyskich: rachunki, weksle oraz wszelkiego rodzaju umowy pisano zazwyczaj po włosku“ („Odiessa 1794—1894“, str. 585). Być może tedy, że takiego właśnie pochodzenia była i owa „włoszczyzna“ mickiewiczowskiej „Donny Giovanny“. Mogła ona być wyjść za mąż za jakiegoś bogatego kupca odeskiego czy też za obywatela ziemskiego utrzymującego stosunki handlowe z portem odeskim i posiadającego w tym mieście, jak to było wówczas na porządku dziennym, i własną kamienicę, i spichrz zbożowy, i może nawet jakąś podmiejską „daczę“, czyli rezydencję letnią. Miasto Odessa żyło wszak wówczas pod znakiem pszenicy i złota.

Tak czy owak „Donna Giovanna“ mocno i na długo wraziła się w serce poety, i mimo jego zapewnień, że „szczęściem zostały pióra do powrotu“, nieprędko zdołał on o niej zapomnieć.

Kimże jednak była ona w rzeczywistości?

Leonard Podhorski-Okołów

KONRAD WINKLER

Ludowy mecenał sztuki

Na posiedzeniu Okręgowej Komisji Związków Zawodowych w Krakowie w dniu 24 września ub. r. zapadła uchwała wielkiej doniosłości, aprobująca nowy projekt w sprawie zbudowania materialnego zaplecza dla polskiej sztuki, która pozbawiona dzisiaj swego dawnego mecenału — musiałaby zniknąć z powierzchni naszego życia kulturalnego, artyści zaś byliby zmuszeni zmienić swój zawód lub po prostu emigrować z kraju.

Projekt powyższy przewiduje składkę 1 zł miesięcznie od każdego członka związku zawodowego, co wobec przeszło milionowej rzeszy pracowników fizycznych i umysłowych w Polsce, zorganizowanych w związki zawodowe — wyniesie około 12 milionów zł rocznie. Do akcji tej przyłączają się niewątpliwie miejskie cechy rzemieślnicze jak i Związek Samopomocy Chłopskiej — co łącznie przyniosłoby sumę około 40 milionów zł rocznie — fundusz wystarczający na stworzenie bazy materialnej dla polskiej sztuki. Za tę bowiem sumę zakupywać będą wspomniane organizacje zawodowe obrazy i rzeźby do swych świetlic, klubów, czytelni, domów kultury i domów ludowych, przy czym dzieła te będą następnie służyły jako premie dla poszczególnych członków tych organizacji, oczywiście za zgodą wyróżnionego pracownika.

Ryby to zatem mecenał kolektywny zachowujący charakter społecznego zamówienia, co spowodowałoby zarówno tak pożądane w dzisiejszej chwili **konkretne** uspołecznienie sztuki przez rozpowszechnienie kultury plastycznej wśród mas, jak też i uspołecznienie pracy artysty przez duchowe i ideologiczne zbliżenie twórcy do rzesz pracujących, i stopniowe wprowadzenie czynnika społecznego do organizacji kultury, oraz do produkcji artystycznej we wszystkich gałęziach plastyki.

Ludowy mecenał sztuki nie będzie bynajmniej atakiem na kieszeń robotnika, czy chłop. Świat pracy chętnie uczęszcza do kina, do teatru, słucha muzyki, kupuje czasem książki, czyta gazety, **ale nie popiera sztuk plastycznych**. Plastyka jest całkowicie pozbawiona tych dochodów, które przynosią (bądź co bądź) twórcom inne gałęzie sztuki. Nowy mecenał nie będzie więc jakąś instytucją charytatywną, lecz będzie miał znaczenie naukowe, społeczne i kulturalne zarazem. Bez uszczerbku materialnego podniesie się duchowa kultura mas, artyści zaś zdobędą wreszcie podstawy materialne, których im obecnie brak. Jest to ich prawo moralne.

Istnieje wprawdzie projekt zakrojonego na szeroką skalę państwowego mecenału sztuki, wobec jednak poważnych trudności finansowych w związku z gospodarczą odbudową zniszczonego przez wojnę kraju, projekt ów dzisiaj nie wchodzi w rachubę. Państwo nie potrafi zapewnić bytu pokaźnej liczbie bezrobotnych artystów. W Polsce mamy blisko dwutysięczną rzeszę czynnych artystów-plastyków, a około 70% ich poświęca się „czystej sztuce”, tj. malarstwu stalugowemu i rzeźbie, które miały przed wojną swe materialne zaplecze głównie w sferach finansowych, wielkim przemyśle i właścicielach ziemskich. Ponadto państwo dbać musi także o inne gałęzie sztuki: popierać muzykę, teatr, literaturę, musi łożyć poważne sumy na szkolnictwo artystyczne, na muzea i zbiory publiczne, prowadzić akcję stypendialną itp. — wobec czego ta drobna ofiara świata pracy na cele narodowej kultury bardzo mu będzie na rękę, także jako oczywisty dowód duchowego odradzania się narodu.

Bo ta jedna złotówka na cele kultury będzie miała także znaczenie moralne. W masach pracujących uczestniczących w ofierze na ów doniosły cel — zrodzi się z czasem poczucie wspólnoty duchowej ze światem kultury, co doprowadzi w końcu do wzbudzenia stałego zainteresowania dla sztuki, do zrozumienia jej wartości społecznej i wychowawczej, zrodzi się poczucie dumy ze spełnionego obowiązku obywatelskiego i patriotycznego. Sztuka w Polsce stanie się wówczas własnością ogółu, bo ogół, walnie przyczyniając się do jej istnienia, będzie ją wchłaniał i chlubił się nią. Sztuka stanie się wtedy codzienną towarzyszącą człowieka pracy. Uszlachetniając jego instynkty i podnosząc jego census moralny, stanie się dla niego czymś odświętnym w szarym dniu powszedniego, kiedy po pracy całodzienną będzie mógł napawać swe oczy pięknem dobrego malarstwa i rzeźby.

Sztuka nie będzie już przedmiotem zbytku klas posiadających. Masy pracujące mają dziś prawo do pełnej kultury, do jej najwyższych, szczytowych osiągnięć. Nasyconie poczuciem estetycznym naszego życia zbiorowego, podniesienie stylu tego życia do wyższego poziomu — oto nader ważne cele, osiągalne jedynie przez obcowanie ze sztuką, które przywróci godność sponiewieranym w czasie wojny wartościom ludzkim.

Jasne jest, że z chwilą wejścia w życie owego projektowanego mecenału ludowego, nastąpić musi reorganizacja naszego życia artystycznego i sprowadzenie polityki kulturalnej na nowe tory. O społecznej organizacji kultury rozstrzygają bowiem dwa zasadnicze momenty: zasięg krążenia dóbr kulturalnych, oraz fakt, kto je zamawia i nimi rozporządza. Ponieważ każda przemiana w dziedzinie kulturalnej stwarza obiektywne warunki, które mogą wpłynąć dodatnio lub ujemnie na twórczość artysty, przeto zachowanie niezależnego stosunku do sztuki staje się dzisiaj największą troską artysty. Z tej właśnie przyczyny polityka kulturalna sprowadzić się musi do zorganizowania takiej podstawy materialnej dla sztuki, która byłaby pod ustawiczną kontrolą organów społecznego samorządu artystycznego i która by krążenie dóbr kulturalnych podporządkowywała rzeczywistości, a nie urojonym potrzebom społecznym,

gdzie szacunek dla twórczej woli artysty byłby w całej pełni zachowany.

W związku z tym zmieni się również oblicze zawodowej organizacji naszych plastyków, pociągając za sobą potrzebę dostosowania do nowych warunków podstawowych form naszego życia artystycznego. Przede wszystkim okaże się niezbędne współdziałanie świata sztuki w pracy nad artystycznym uświadamianiem mas. Nasi plastycy muszą się zobowiązać do pracy społecznej w środowiskach swych nowych odbiorców, muszą wejść w lud pracujący z odczytami i pogadankami o sztuce, a ów kontakt duchowy z masami przyniesie im niewątpliwie duże korzyści, wzbogacając ich życiowe doświadczenie i otwierając przed nimi nowe perspektywy. Ów kontakt z masami wzbudzi ponadto w artyście poczucie społecznej odpowiedzialności, pogłębi świadomość, jakie powinno być jego miejsce w życiu narodu i państwa.

Praktycznie biorąc, projekt tego nowego mecenału wygląda następująco: poszczególne Okręgowe Komisje Związków Zawodowych i Samopomocy Chłopskiej zakupywać będą co miesiąc wszystkie prace naszych plastyków, które zostaną zakwalifikowane przez Komisje Artystyczne Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Prace w danym miesiącu niezakupione, będą miały pierwszeństwo do zakupu w miesiącu następnym. W razie

większej podaży dzieł rozstrzygać będzie losowanie. Regulamin zakupów będzie tak opracowany, aby wszyscy artyści równomiernie uczestniczyli w tej podaży, przy czym cena dzieł sztuki będzie miarą możliwości znormalizowana. Obrazy większych rozmiarów muszą być taksowane osobno, podobnie jak rzeźby, lecz na cenę dzieła sztuki wpływać będzie przede wszystkim stopień artystycznej doskonałości obiektu.

Ponieważ zakupów tych będą dokonywały wspomniane organizacje zawodowe z funduszy zebranych od członków z określonego terytorium, przeto nastąpić musi znaczne rozładowanie większych skupisk artystycznych: plastycy przenosić się będą do takich okręgów wojewódzkich, gdzie okażą się większe szanse w sprzedaży ich prac — tj. tam gdzie podaż dzieł sztuki może liczyć na zapotrzebowanie.

Ta decentralizacja artystycznej podaży wpłynie niewątpliwie korzystnie na równomierne nasycenie głodu sztuki we wszystkich polaciach kraju, z tym, że najbardziej będą uprzywilejowane centra przemysłowe, jako główne punkty społecznego zamówienia a równocześnie jako najbardziej predestynowane ośrodki upowszechnienia kultury piękna.

Zapewniając byt wszystkim twórczo pracującym artystom, kolektywny mecenał ludowy zachęci niewątpliwie naszych plastyków do sumiennej pracy nad własnym rozwojem, do rzetelnego traktowania swego zawodu i nieustannego doskonalenia swego rzemiosła. W środowisku tym nie będzie miejsca dla pospolitych i zakłamanych gestów w sztuce i to stanowić będzie czysty zysk moralny i kulturalny omawianego projektu.

Konrad Winkler

WACŁAW KUBACKI

Na temat filmu

sny to przykład etatyzacji sztuki. Dlatego, choć jestem przedstawicielem literatury, twierdząc, że prawie każdy pisarz w ocenie pracy filmowej popełnia błąd zasadniczy, bo posługuje się analogią literacką. Upaństwowienie produkcji filmowej, czy stworzenie państwowej instytucji filmowej postawiło film na odrębnych prawach, czego niesposób nie uwzględnić, jeśli się nie chce popełnić grubych błędów. (Samą sprawą upaństwowienia tu się nie zajmujemy).

Błąd ten wystąpił na jaw zupełnie jaskrawo w krytyce wydatków filmowych. Od razu przyznam się, że najwięcej rażą mnie zarzuty stawiane finansowej gospodarce filmu. Co bowiem na ten temat może powiedzieć postronny człowiek? Samo wejście w budżet nie wystarczy. W ten sposób stwierdzimy tylko wysokość wydatków. Co innego jednak jest wysokość, a co innego celowość wydatków. O celowości zaś może wyrokować fachowiec lub komisja fachowców organizacyjnych, finansowych i artystycznych, przy czym analiza wydatków i inwestycji nie może się ograniczać do roku budżetowego, lecz musi ogarnąć szerszy cykl produkcyjny. Nie bądzmy skąpi! Skapstwo w dziedzinie kultury nigdy się nie oplaca. Wydatki zaś na kulturę zawsze się oplacają. Jeden dobry film pokryje nakłady wielu lat.

Dla oceny gospodarki finansowej filmu trzeba wnikać we wszystkie sekrety organizacyjne, w szczególności planowania, cele i wytyczne polityki filmowej, propagandowej, oświatowej i kulturalnej. W tej dopiero skali można dzisiaj mówić o celowości i wysokości wydatków oraz o państwowej i społecznej „rentowności” filmu.

Dochodzimy do jądra zagadnienia filmowego. Sprawa zasadnicza to, moim zdaniem, pytanie: jaki charakter ma instytucja „Film Polski”? Jaki statut, program, schemat organizacyjny, władze itp.? Sądzę, że tu tkwi zasadnicza tajemnica filmu, a nie w sprawach technicznych, w braku sił, scenariuszy itp. Przyznaję, że nie na ten temat nie umiem powiedzieć. Wątpię zresztą, czy jest ktoś poza dyrekcją „Filmu Polskiego”, kto by mógł coś wyczerpującego o tym powiedzieć. Może nawet co do tego przecehiam wiedzę dyrekcji, bo przecież sama instytucja znajduje się w studium organizowania. Stąd zapewne pochodzi uprzejmość wobec krytyków, których wynurzenia traktuje się widocznie jako wskazówki przydatne do organizacji filmu. Krytyka gra tu rolę bardzo wygodnego, bo bezpłatnego ciała doradczego. Być może, iż myślę się, iż niewinnie posądzam filmowców, ale jest to dzisiaj przyjęty zwyczaj, że fachowców przeważnie pomija się przy obsadzaniu różnych stanowisk kulturalnych, ale za to skwapliwie korzysta się z ich wiedzy i doświadczenia w charakterze członków rady.

Nie znając szczegółów organizacyjnych „Filmu Polskiego” poprzestanę na paru uwagach ogólnych. Domyślać się wolno, że praca tej instytucji nie będzie łatwa. Pomijam to, że już teraz musi ona kręcić filmy, nie rozkręcając jeszcze swej działalności, a nawet nie ukonstytuowawszy się należycie. Będzie ona chciała prawdopodobnie łączyć pionierstwo artystyczne z rentownością, sztukę filmową ze służbą społeczno-polityczną.

Ile zadań i celów, tyle odrębnych problematyk, a w obrębie każdej z nich mnóstwo trudnych zagadnień. Uzgodnienie tych problematyk, stworzenie jednej nadrzędnej problematyki filmowej nie stanowi łatwego zadania. To jest strona wewnętrzna, czysto filmowa poruszona tu sprawa. A będzie ona też miała swój odpowiednik zewnętrzny w postaci współpracy z różnymi agendami państwowymi, których dyrektywy nie muszą być zawsze skoordynowane, a z zagadnieniami artystycznymi w ogóle czy filmowymi w szczególności mogą być nieraz nawet w zasadniczej niezgodzie. Minister skarbu lub informacji i propagandy nie musi przecież znać się na sztuce, a filmowiec na oświacie i propagandzie.

Największą trudność przewiduję w poganianiu filmu przez wymienione ministerstwa i inne nie wymienione czynniki, czego przedsmak daje nam bieżąca krytyka działalności filmowej. Ministerstwa są to urzędy, czyli potencjalne biurokratyzmy. Film zaś, mimo swoich zadań praktycznych, należy do dziedziny sztuki. Konflikt zadań doraźnych, praktycznych, politycznych z wymaganiami sztuki, czyli konflikt biurokracji z twórczością, przybierze mniejsze lub większe rozmiary (czyli, mówiąc po prostu i zrozumiale, utrudni pracę filmowcom i da nam filmy w stopniu mniejszym lub większym udane) zależnie od statutu, który określi podstawy prawne, formę organizacyjną, cele, zadania i charakter „Filmu Polskiego”.

Jeśli w czym tedy można by filmowi pomóc w chwili obecnej, to chyba w przemyśleniu i ułożeniu odpowiedniego statutu. Tymczasem właśnie na tę najważniejszą sprawę nie mają wpływu goście, dla których się urządza pokazy i których się prosi o krytykę.

Wacław Kubacki

STANISŁAW TOŁWIŃSKI

ZAGADNIENIE SAMORZĄDU

W ŚWIETLE DOŚWIADCZEŃ
DEMOKRACJI LUDOWEJ

CENA
ZŁ 130 -

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»KSIAŻKA«

nakładem naszego Wydawnictwa ukazały się

BAŚNIE I LEGENDY

DLA STARSZYCH DZIECI

Zawierają one zbiór baśni polskich i innych narodów. Okazała szata zewnętrzna. Książka bogato ilustrowana.

Cena zł 90 —

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Centralna — Łódź, Piotrkowska 86, wysyła za zaliczeniem pocztowym lub po otrzymaniu wpłaty na konto nr VII/995 PKO Łódź

RYSUNKI KRAMSZTYKA Z GHETTA



Roman Kramsztyk (ur. 1885 w Warszawie), znany malarz polski, zginął 6. VIII. 1942 r. w getcie warszawskim. Mówiono z trwogą o losie artysty żydowskiego, kiedy oprawcy z gestapo wybrali się ze specjalnymi rozkazami; wtedy, zdaje się, padł ofiarą i Kramsztyk.

Kramsztyk artystycznie związany był z Paryżem, na terenie Warszawy przynależał do grupy „Rytm“, z którą występował na wystawach reprezentacyjnych. Szedł jednak odrębnymi drogami, gdyż kultywował zagadnienia malarskie, omijał impresjonizm, korzystał z tradycji dawnego malarstwa, z którymi łączył zdobycze nowoczesne (Cézanne). Osiągnął piękne rezultaty. Z obrazów jego promieniuje radość życia płynąca z beztroski bytowania, czemu odpowiada i świetność kolorytu i lśniąca faktura.

A oto leżą przed nami przejmujące dokumenty — z dawnego getta warszawskiego uratowano sześć rysunków, które tam wyko-

nał Kramsztyk. Zapewne było ich więcej, ale i te, które się dochowały, mówią nam dostatecznie o ogromie cierpienia w getcie. W rysunkach tych Kramsztyk formalnie pozostał w kręgu swej dawnej sztuki, choć odrzuca jej błyskotliwą świetność na rzecz prawdy życia i siły ekspresji. Ekspresja ta jest jednak

powściągliwa i opanowana, tym bardziej więc wzrusza i zasmuca. Oto „Głowa młodego Żyda“ o rysach szlachetnych i pięknych. W wyrazie twarzy bolesna świadomość zagłady, nie budzi to jednak w młodzieńcu buntu ani rozpacz, lecz zadumę pełną bólu. Tli w artystyście jeszcze wspomnienie dawnych dni,



o czym świadczy „Główka kobieca“, jest to jakby chęć oderwania się od ponurej rzeczywistości.

Groza tej rzeczywistości jest jednak za silna, artysta nie może się już od niej oderwać, zespała się z gehenną narodu żydowskiego. Odtwarza koszmarnie postacie, które w prostocie swej wymowy urastają do znaczenia symbolu — „Żyd z dzieckiem na ramieniu“ i najbardziej przejmujący ze wszystkich rysunków „Stary Żyd z dziećmi“. Starzec, udręczony śmiertelnie, próbuje widocznie ratować kilkoro dzieci, których nędzę i wyczerpanie ostatecznie trudno słowami wyrazić. Wychudzone, drobne ciała ledwo trzymające się na nóżkach. Obraz ten działa nie tylko estetycznie — staje się oskarżeniem. Siłą ekspresji dorównuje mu „Głowa dziewczyny“, której bolesny tragizm podnosi piękno rysunku.

Nazwisko Kramsztyka związało się niepodzielnie z męczeństwem getta warszawskiego.
Helena Blumówna

ZUZANNA GINCZANKA *)

* * *

Non omnis moriar — moje dumne włości,
Łąki moich obrusów, twierdze szaf niezłomnych,
Prześcieradła rozległe, drogocenna pościel
I suknie, jasne suknie pozostaną po mnie.
Nie zostawiłam tutaj żadnego dziedzica,
Niech więc rzeczy żydowskie twoja dłoń wyszpera,
Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla,
Donosicielko chyża, matka folksdojczera.
Tobie, twoim niech służą, bo po cóż by obcym.
Bliscy moi — nie lufnia to, nie puste imię.
Pamiętam o was, wyście, kiedy szli szupowcy,
Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie.
Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb i własne bogactwo:
Kilimy i makaty, półmiski, lichtarze —
Niechaj piją noc całą, a o świcie brzasku
Niech zaczną szukać cennych kamieni i złota
W kanapach, materacach, kołdrach i dywanach.
O, jak będzie się palić w ręku im robota,
Kłęby włosia końskiego i morskiego siana,
Chmury prutych poduszek i obłoki pierzyn
Do rąk im przylgną, w skrzydła zmieniają ręce obie.
To krew moja pakuły z puchem zlepi świeżym
I uskrzydłonych nagle w aniołów przemieni.

*) Jeden z ostatnich wierszy utalentowanej poetki, zamordowanej przez Niemców w Płaszowie pod Krakowem.

STANISŁAW WYGODZKI

* * *

Przez własny ból i własną mękę
przenika wiersz mój i narasta
i jak na ciepły popiół miasta
na serce kładę swoją rękę,
lecz załęczniona się nie cofa
i wytrwa, wytrwa do ostatka
powolna i bolesna strofa
w której Córka ma i Matka.

I kładę rękę swoją drżącą
na miasta, wsie i na przedmieścia
gdzie w mroku moich klęsk dwadzieścia
płomienie nocy, sycząc, mącą,
lecz nie odejdę. To przeze mnie
noc przechodzi i przenika,
jak bagnet wbiły w przeciwnika —
ach, płaszcz skrwawiony zdejmcie ze mnie.

I nie jak pielgrzym stanę tutaj,
jest dla pielgrzyma czas spoczynku,
gdy bliski dróg, daleki rynku
strzepuje proch z podartych butów
i oczy zwraca ku zachodom
skąd noc zawiewa, chłód i cisza
i siwym i uśpionym wodom
dalekie brzozy się kołyszą.

I nie przychodzę kaznodzieją
w serca sączyć jad i piołun,
mam w sercu własną garść popiołu
i ona nie jest mi nadzieją,
bo nikt z popiołu się nie zbudzi,
ni zbawca, sędzia, kał, ni mściciel...
Cienistą stroną idę skrycie
wśród obcych i dalekich ludzi.

*

I odwrócony ku tej stronie,
skąd nikt nie wraca, muszę zmieścić
dwadzieścia bitw i klęsk dwadzieścia,
dalekie oczy, usta, dłonie
i wytrwać, wytrwać sił ostatekiem
i zapamiętać wszystko, ogrom
i własny Kraj i dom i pogrom
i Córkę własną i mą Matkę.



KORESPONDENCJA

WYBRZYK

Do redaktora „Odrodzenia”

W dwutygodniku poznańskim „Życie Literackie” (nr 3-4 b. r.) umieszcili bracia Nowowiejscy pełen pietyzmu artykuł, poświęcony pamięci ojca, znanego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego, zmarłego w Poznaniu w styczniu b. r.

Artykuł daje treściwą i rzeczową syntezę twórczości Nowowiejskiego. Niestety wkładł się tam niewłaściwy ton, a raczej przykry dysonans, którego właśnie przez pietyzm dla zmarłego kompozytora należało uniknąć. Poruszać tę sprawę tutaj, w piśmie niemuzycznym, dlatego, bo to jest sprawa interesująca nie tylko muzyków, ale sprawa zasadniczego znaczenia dla kultury i etyki publicystycznej.

Kto zabiera głos publicznie, ten musi mieć poczucie odpowiedzialności za to, co mówi; ten musi mieć szacunek dla słowa, którego waga jest zbyt wielka, by je można lekceważyć traktować. Wiem, że redakcje czy to dzienników, czy pism poświęconych zagadnieniom kultury, umieszczają artykuły o muzyce, nie czytając zazwyczaj zbyt dokładnie przedłożonych sobie skryptów, gdyż jak redakcje niefachowe nie chcą wtaczać się do spraw, na których „się nie zna”. Toteż autorzy artykułów muzycznych mają w wypowiadaniu swych sądów bardzo wiele swobody. Byłoby to niezmiernie korzystne, gdyby ta swoboda nie przesadzała się nieraz w samowolę i nie doprowadzała do gorszących wybrzyków. Z takim właśnie przejawem samowoli i wybrzyku mamy do czynienia w artykule braci Nowowiejskich o twórczości ojca. Mówią o melodii „Roty” do słów M. Konopnickiej, przytaczają oni ocenę znanego kompozytora i krytyka, Stanisława Niewiadomskiego, który wobec melodii Nowowiejskiego miał pewne zastrzeżenia ze stanowiska konstrukcji muzycznej.

Zacytowana opinia Stan. Niewiadomskiego zapatrzuje bracia Nowowiejscy następującą uwagę:

„Oto próbka uczonego stylu. Niewiadomski równocześnie z krytyką ta napisał własną „Rotę”, nieestetyk nie chciał śpiewać melodii tej, profesor, mimo zapewne idealnych półkaden, Niewiadomskich nie brakło i w dalszym ciągu pobytu ojca w Polsce”.

Tak pisać nie wolno! To jest gorszy wybrzyk wobec kompozytora, zajmującego zbyt wysokie stanowisko w hierarchii naszej muzyki i to wobec kompozytora zmarłego. Każdy kto znał Niewiadomskiego, jego wytworną kulturę, wie, jakby on był odpowiedział na tę obelżywą napaść. W jego imieniu trzeba ją napiętnować. W ocenie Niewiadomskiego nie było nic ujemnego, nic, co umniejszało wartość artystyczną twórczości Nowowiejskiego; sąd wypowiedziany był jasno, po prostu, bez wszelkiej pretensjonalności. Na jakiej podstawie więc pozwalają sobie autorzy artykułu na ironizowanie rzekomo „uczonego stylu”? Co ich upoważnia do lekceważącego określenia „Niewiadomscy”? Bez względu na to, czy uzasadnione były zastrzeżenia krytyczne Niewiadomskiego, czy nie, trzeba uznać, że były wypowiedziane w formie poprawnej, z właściwym mu taktem. Szczytem lekkomyślności czy wprost wybrzykiem jest doszukiwanie się w stanowisku Niewiadomskiego jakichś momentów osobistych czy zawiści, płynącej stąd, że nie jego „Rota”, ale pieśń Nowowiejskiego stała się popularna. Wiadomo przecież, że popularność jakiegokolwiek utworu nie jest miarą jego wartości. Wszelkie hymny, śpiewane przez ogół jako pieśni „narodowe”, „patriotyczne” itp., muszą być przystępne i łatwe tak, żeby ogół mógł je sobie przyswoić; dowodem tego są pieśni rewolucyjne, przetoż i czasów rewolucji francuskiej, jak również melodia, którą Beethoven wprowadził do IX. symfonii jako „Ode do radości”; wszak jest to najwinnie prosta melodia. Można zaryzykować twierdzenie, że im banalniejsza melodia, tym łatwiej się przylgnię do ogółu i stanie się w końcu własnością wszystkich; świadczy o tym m. in. melodia „Pierwszej brygady”, trywialna melodia niemieckiej operetki „Die blauen Husaren”; a jednak była ona „hymnem” legionistów i miała dla nich wartość uczuciową!

Nie znam „Roty” Niewiadomskiego, a więc nie wiem, czy była lepsza czy gorsza od „Roty” Nowowiejskiego. W ocenie ich wartości nie można się kierować kategoriami artystycznej piękna; tu idzie tylko o to, czy melodia, która się staje „pieśnią narodu”, spełnia swoje właściwe zadanie, czy nie. „Rota” Nowowiejskiego odpowiadała swemu celowi. A jeśli Niewiadomski poczynił zastrzeżenia krytyczne ze stanowiska czysto muzycznego, to tym samym nie obniżył w niczym społecznej czy narodowej wartości „Roty” i z tego powodu jego ocena nie może być źródłem obelżywych ataków, uwłaczających jego pamięci.

Przeciw takim napaściom należy zaprotestować jak najbardziej stanowczo, potępić je jako wybrzyk, naruszający powagę prasy oraz obniżający wartość wszelkich wysiłków twórczych

Prof. dr Józef Reiss (Kraków)

JUTRO IDE DO CANOSSY

Do redaktora „Odrodzenia”

(W numerze 48 „Przekroju” ukazał się felieton satyryczny Jerzego Jurandota pt. „Nie obrzydzać” wymierzony przeciwko mojej recenzji o „Nocy”

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIAŻKA”

nakładem naszego Wydawnictwa ukazały się

St. J. Lec - POEZJE (Notatnik polowy)

Cena zł 30—

Miecz. Jastrun - RZECZ LUDZKA

Cena zł 65—

Wi. Słobodnik - DOM W FERGANIE

Cena zł 90—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Centrala — Łódź, Piotrkowska 86, wysła za zaliczeniem pocztowym lub po otrzymaniu wpłaty na konto nr VII/995 PKO Łódź

DR EDWARD SZCZEKLIK

ZAWAŁ MIĘŚNIA SERCOWEGO

W obrazie klinicznym i elektrokardiograficznych

Stron 180 Piękny papier ilustracyjny Rycin 120

Instytut Wydawniczy „GLOB”

J. Chodorowicza

Kraków, Szymonowickiego — Bochna 17

OSTATNIA NOWOŚĆ!

Jerzy Zawlejski

Droga do domu

Do nabycia we wszystkich księgarniach

WYDAWNICTWO EUGENIUSZA KUTHANA

Warszawa, Pl. Trzech Krzyży 12

Kraków, Pl. Dominikański 2

J. Andrzejewskiego, drukowanej w nr 62 „Odrodzenia”.

Autor felietonu atakuje stosowanie „beznamiennej”, „trudnej i niezrozumiałej” analizy krytycznej do książek, apelujących przede wszystkim do „serca” czytelnika (w myśli romantycznej dewizy: „czucie i wiara silnie mówią do mnie, niż mędrcza szkielek i oko”), — a poza tym zarzuca mi nieznaną sobie stosunków pod okupacją.

Niepoważny ton wymienionego felietonu nie stwarza, niestety, podstawy dla dyskusji nad problemami współczesnej krytyki literackiej. Dyskusji takiej nie zgaję się zwierzaniem: „Bardzo lubię owoce”, co może interesować tylko kucharkę autora „Nie obrzydzać”. Od uwag na temat, kogo mogą interesować dalsze, bardziej intymne zwierzenia ob. J., wołę się wstrzymać. Wątpię, czy w ten sposób stosowana l os. l. poj. („ja”) jest bardziej szlachliwa od wykopanej u mnie 1-ej os. l. mn. („my”), której użyłem przy referowaniu wrażeń z lektury.

Tyle ob. Jurandotowi „w kwestii formalnej”, a czytelnikom dla zorientowania się w „przebiegu sprawy”).

Pewnego razu „Przekrój” stał się „boczną ulicą” prawie wszystkich poważniejszych piór w Polsce (vide „Kuznica”, nr 24). Wydrukował artykuł Jurandota pt. „Nie obrzydzać” i stał się „boczną ulicą” wszystkich (bez „prawie”) poważniejszych piór w Polsce. O mało nie przecięliśmy tego kulturalnie doniosłego wydarzenia, jako że w „Przekroju” czytamy tylko dobre dowcipy i napisy pod obrazkami. Ale mi pokazali znajomi, kto, co i jak. Przeczytałem i:

1) pobiegiem do domu, by w kartotece, jaką sobie dla rozrywki prowadzę (pod hasłem: „Pięć Najwybitniejszych Piór w Polsce”) założyć nowy kartonik pod literą „J”;

2) zamówiłem mszę na intencję rychłego powrotu do zdrowia wszystkich, którzy doznali wstrząsu mózgowego po przeczytaniu mojej „trudnej i niezrozumiałej” recenzji o „Nocy” Andrzejewskiego; tudzież — aby ograniczyć powstaniem włosów na głowie J. Jurandota zaprzęstał rebelii;

3) rozprawiłem się z własnym sumieniem, które przyznało autorowi rzeczowego artykułu 100% racji. Bo:

Rzeczywiście nie byłem z „wami” pod okupacją. Siedziałem sobie w nierozparcelowanym jeszcze majątku ob. Bę-Walskiego. Byłem tam kustosiem biblioteki i zadowolonym Courts-Mahlerowej jasnoci stylu. O wojnie nie wiedziałem, skądże znowu! Ani o Niemcach. Raz wpadli w nocy jacyś unumundowani zbrojcy, ale byli bardzo niegrzeczni i nerwowi, krzyczęli już od progu i przez rozłargnienie zastrzelili starą ciotkę-rezydentkę. Ale żaden z nich nie miał „delikatnego owalu twarzy”, więc chyba nie Niemcy. Do dzieła nie miałem.

Pewnego razu znalazłem w bibliotece tomik bardzo zabawnych wierszy-piosenek pt. „Niedobre panie Bobrze”. Autora nie pamiętam. Przeczytałem i omal nie umarłem ze śmiechu. Ale mnie odratowali. Po tym wypadku umysł mł się zamroczył: opalizacja, kompensacja, faza, aspekt, percepcja — no, właśnie! Owszem. Prawda. Boleję. Z posady mnie wywalił. Zaczęłam zarabkać śpiwaniem po tramwajach, lecz jedyna piosenka, jaką z owego śmiesznego zbioru zapamiętałam („O jednej Wiśniewskiej” nie wytrzyżywała konkurencji. Zapamiętałam jeszcze drugi tekst pt. „High life bon ton”, lecz nie wiedziałem jak to wymówić. A o Hitlerze nie wiedziałem wciąż nic, skądże znowu!

I tak jakoś przeżyłem. I dopiero z „Zamachu” dowiedziałem się o okupacji i o konspiracji. Mądry Polak po szkodzi! Trzeba było śpiewać po kawaleriach, nie po tramwajach.

Wobec powyższego: Będę się starał. O jasność stylu. I o prostotę. Co najwyżej trzy. Słowa w zdaniu. Aby nie obrzydzać. Jurandotowi i „Przekroju”. Studia uniwersyteckie zarzucę. I zapamiętam. Na praktykę do Układacza kawalerianych piosenek. Aby mnie nauczył. Stylu i la:

„...serce ścisnęło się jeszcze raz tym chłodem beznamiętnie rozpacz, który się w sobie nosiło przez całą lata bez przerwy” (Jerzy Jurandot).

Aha! serce ścisnęło się. Ścisnęło się chłodem. Chłodem beznamiętnie rozpacz. Rozpacz się nosiło — nie! — chłód się nosiło. Nosiko bez przerwy.

Rzeczywiście. Gramatycznie. Jasno. I rzewnie. I jak śmiesznie!

Wilhelm Mach (Kraków)

LITERACI NA WYBRZEŻU

Do redaktora „Odrodzenia”

Warunki, w jakich żyją Literaci na Wybrzeżu, domagają się wkroczenia odpowiedzialnych czynników, a więc zarówno Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich, jak też gdańskich władz wojewódzkich i municypalnych.

Chodzi mi zwłaszcza o los tych pisarzy, którzy bądź nie chcieli wyjechać się lub zaniedbywać swojej działalności zawodowej, bądź nie czuli się na siłach po 6-letniej poniewierce wojennej, by zająć stanowiska urzędnicze.

Należę do nich... Bez mieszkanka, bez stołówki, bez prawa do Ubezpieczalni, bez przydziału opału i tzw. tekstyliów, znalazłem się wraz z żoną i nieletnim dzieckiem w położeniu tragicznym, które zmusiło mnie ostatnio do ulicznej sprzedaży papierosów.

Przyjechałem do Sopotu w sierpniu r. ub. na skutek wezwania Ministerstwa Kultury i Sztuki, zachęcającego pisarzy do osiedlania się na Wybrzeżu i zapewniającego im — w porozumieniu z wojewódzkimi władzami gdańskimi — tak mieszkanie, jak i zupełnie niezłe warunki bytu. (Pismo Departamentu Literatury do Związku Zawodowego Literatów Polskich z dnia 3. VII. 45, l. dz. 3685/45).

Pomimo najusilniejszych starań, które zabrały mi resztę zdrowia, ocalała po przejściach wojennych, mieszkanka dotychczas nie zdobyłem, dochodząc do przekonania że jestem po prostu ignorką w rękach personelu Komisji Mieszkaniowej w Sopocie.

Pensjonatowe mieszkanie w Domu Literatów, bez własnej kuchni, jest w warunkach rodzinnych — pomimo dobrej woli jego Zarządu — uciążliwym i kosztownym prowizorium (800.— zł. komornego plus opał kupowany na czarnym rynku, plus nieodowne napiwki dla służby przekraczają w sumie 2 tysiące miesięcznie).

Pozbawiony stołówki, o którą daremnie zabiegałem w Województwie i Zarządzie Miejskim m. Sopotu, zdany jestem wraz z rodziną na stołowanie się po restauracjach lub na sporządzanie obiadu w cudzej kuchni w przeciągu 15 minut. Jak takie dorywczo sporządzone posiłki mogły zaciążyć na rozwoju 5-letniego dziecka — nie trzeba tłumaczyć.

Jestem chory poważnie na serce i mam komplikację w amputowanej nodze, a ponieważ pisarz na Wybrzeżu nie ma prawa do Ubezpieczalni, zmuszony jestem korzystać z pomocy prywatnego lekarza. Choruję mi również dziecko, nabawiwszy się w plwicy warszawskiej i w plukawych war-

runkach obozu pruszkowskiego chronicznej choroby. Na jego leczenie musiałem zaciągnąć duży dług, którego nie zdolam spłacić.

Dochody z wierszowego za felietony i nowele, drukowane w prasie i publikowane w radio, są głównie i nie mogą wystarczyć na najskromniejsze nawet utrzymanie, jeśli się nie ma stołówki i przydziału. Budżet swój latałem dotychczas pozyskiwać w nadziei, że uda mi się je spłacić po wydaniu dwu książek, które przygotowałem do druku. Co będzie jeżeli obliczenia moje zawiodą, jeżeli słynne „ograniczenia papieru” staną temu na przeszkodzie?.. Myślę o odpycham od siebie, rozpacz nie jest odpowiednim klimatem dla pracy.

Pisarze, nie mający żadnego stanowiska w urzędzie, nie dostali dotychczas od chwili osiedlenia się na Wybrzeżu ani jednego przydziału opału, ani jednego przydziału bielizny czy odzieży. Łatwo sobie można wyobrazić, w jakim stanie jest ich garderoba, zwłaszcza tych, którzy przeszli przez Warszawę. W ostatnich tygodniach musiałem dwukrotnie odmówić wygośnienia odcygu, ponieważ braki w jedynym moim ubraniu stały się już zbyt jaskrawe.

W takiej sytuacji, gorszej niż niewykwalifikowanego pracownika fizycznego, pozostawionego całkowicie samemu od pierwszej chwili przyjazdu, żyje pisarz w Sopocie, na „ekspozycyjnym” terenie pomieścił.

Mieczysław Zydler (Sopot)

NA TEMAT DARWINA

Do redaktora „Odrodzenia”

1. W artykule „Wartości wychowawcze humanistyki” („Tygodnik Powszechny”, nr 5) prof. Konrad Górski napisał m. in.:

„Ojcem duchowym teoretycznych podstaw niemieckiego nacjonalizmu i rasizmu jest Darwin... jako twórca teorii, że rozwój gatunków dokonuje się w wyniku walki o byt i naturalnego doboru. Zwycięza w tej walce silniejszy i dzięki temu ma tworzyć wyższe, lepsze formy życia, więc niech żyje każdorazowy zwycięzca i niech będzie błogosławiona walka. Jeśli ów zwycięzca ma większą siłę, to ma i większe moralne prawa od słabszego — oto wynik idei ewolucji pojętej w duchu darwinizmu” (podkreślenie moje).

Ta wypowiedź wywołała moje zasadnicze zastrzeżenia, prowadzące się głównie do tego, że „nauka o doborze naturalnym i zwycięstwie silniejszego dotyczy rozwoju gatunków, a jej przenoszenie na stosunki w ludzkich społeczeństwach jest wybrzykiem i dowolnością albo wulgaryzacją nauki, jeżeli nie zawstydzającą ignorancją”. („Czerwony i czarny”, „Odrodzenie” nr 64).

W swym liście do redaktora „Odrodzenia” („Spor o Darwinia”, „Odrodzenie” nr 68) pisze prof. Górski o tym:

„Znam dzieła Darwina nie z cudzej powieści, ale z własnego pilnego czytania i wiem, że on nigdy by się nie zgodził na przenoszenie jego teorii dotyczących świata roślin i zwierząt w sferę stosunków ludzkich. O tym przekonywać mnie nie trzeba”.

Milo mi przyjąć do wiadomości to oświadczenie, wraz z którym znika przedmiot sporu. Nie podjął go jednak bez uzasadnienia, jak usiłuje twierdzić prof. Górski. Wymownym dowodem tego jest polemiczna notatka pt. „Co z tym koniem?” w „Tygodniku Powszechnym” (nr 50), której autor (K-k), mój antagonistą, rozumiejąc nie inaczej niż ja myśl prof. Górskiego, robi nawet żalosne wysiłki poparcia fałszywej tezy autorytetem Fryderyka Engelsa i Józefa Stalina, których nie zna i źle rozumie, wreszcie „niepodejrzanego marksisty”. K. Kautskiego i Woltmanna. Biedny K-k pozostał w szczerym polu na osamotnionym placówce, której prof. Górski wyrzeka się, nie tyle, jak z tego wynikałoby, zgodnie z swym artykułem, ile z odpowiedzialności naukowo-prawda.

Forma „dokonywuje” zamiast „dokonywa” istotnie dziwaczna, znalazła się w cytacie mojej z tekstu prof. Górskiego chyba w drodze mechanicznego błędu, oczywiście bez jakiegokolwiek intencji.

3. Klamra, która w moim artykule spięłam wypaczenie poglądów na Darwinia i wulgaryzację nauki religii w szkole przez prostactwo jej nauczyciela-prefekta, musi być zdjęta, co robię z całą gotowością, przy wszelkich, rzeczywistych wielkich różnicach poglądów moich i prof. Górskiego, słusznie przezeń skonstatowanych. Wystarczy sam fakt, iż uraża ona prof. Górskiego w uczuciach, które, jak przypominam, manifestował odważnie w epoce bomb, podkildanych przez „różnych endeków za ostre i stanowcze potępienie antysemitycznych wybrzyków młodzieży” pod drzwiami nielicznych, odważnych profesorów uniwersytetu, którzy przeciwdziałali się podówczas fałszywostekowskiego zdziwienia, a do których prof. Konrad Górski chlubnie należał.

Józef Sieradzki (Kraków)

PRZEPADŁE RĘKOPISY SPÓŁDZIELCZE

Do redaktora „Odrodzenia”

Dotkliwie straty zadane przez wojnę spółdzielczości polskiej objęły nie tylko zwyłych, cennych ludzi i dorobek materialny wielu lat. Cios spotkał również niezgadzających w mroczach okupacji myśl spółdzielczą. Zaginęła, jak zginął pod gruzami Warszawy jej autor Marian Rapacki, praca historyczna poświęcona „Pierwszej polskiej książce spółdzielczej” (Aleksandra Makowieckiego „Spółki społeczne”, Warszawa, 1988). Z tej pracy doszedł nas tylko tytuł, uwidoczniłony ręką bibliotekarza na ocalałym arkuszu papieru, w którym rzecz ta była zapakowana...

Snujemy sobie obraz myśli zawartych w tym rękopisie: znawca europejskiej literatury spółdzielczej omawia krytycznie, ale z życzliwą wyrozumiałością pierwszą polską książeczkę o roczdelskich osiągnięciach, wydaną na rok przed założeniem w Warszawie, pod nie bardzo szczęśliwą nazwą „Merkury”, pierwszej polskiej spółdzielni spożywców. Ilekroć głębokich refleksji z perspektywy rozwoju spółdzielczości w ogóle, a polskiej w szczególności skreślić mogła na marginesie 35-stronicowej książeczki Makowieckiego madra ręka Mariana Rapackiego, współtwórcy, z dr Henrykiem Kołodziejskim, „Programu spółdzielczości polskiej”...

Inna, już wzmiankowana pozycja, to przekład na język angielski dzieła Stanisława Thugutta „Spółdzielczość — zarys ideologii” dokonany przez Floriana Sobieniewskiego, znakomitego tłumacza sztuk Shawa. Wydana drukiem, byłaby to pierwsza oryginalna polska praca (pierwsza w ogóle polska książka spółdzielcza: Abramowskiego „Idee społeczne kooperatywności”, przełożona została przez Jana Zawadę na język niemiecki i wydana w roku 1924 przez szwajcarski związek spółdzielni spożywców w Bazylei) ofiarowana ojczyźnie „28 Sprawiedliwych Pionierów”... Niestety, cenny przekład w rękopisie wraz z innymi niemiernie cennymi materiałami literackimi i biblioteką Floriana Sobieniewskiego („Odrodzenie” nr 35) już w piątym

dnia powstania warszawskiego „zamienili się w stół popiołu”. Na drugi taki przekład — wyobrażamy sobie: Shaw pisze do tłumacza tej książki przedmowę! — Anglia poczęła jeszcze długo...

Oto refleksje nasuwające się na wiadomość o wznowieniu przez Bibliotekę Narodową świetnie redakcyjnie i graficznie wydawanego Wykazu Druków, na którego kartach nie zostaną odnotowane przepałe pozycje bibliograficzne.

M. Bartoszewicz (Łódź)

O KSIĄŻCE KAFLA

Do redaktora „Odrodzenia”

W nr 62 „Odrodzenia” J. A. Szczepański, omawiając książkę Kafla w recenzji pt. „Dziennikarz i dziennikarstwo” z bibliograficzną znajomością przedmiotu, która mu tylko zaszczyt przynosi, wytknął autorowi wspomnianie książki pominieć wśród źródeł książki pt. „Z dziejów prasy pomorskiej”, której byłem współautorem razem z niezującym dziś red. Ludwikiem Łydko.

Nie miałem dotychczas książki Kafla w rękę i nie wiem, czy i o ile niedostatek ten zaciążył na metodach badawczych autora książki o prasie. W każdym razie o ile jej nie znał, nie mógł posiadać wyczerpujących informacji nie tylko o rozwoju polskiej prasy na Pomorzu, ale także i na Ziemiach Zachodnich, w b. Rzeszy Niemieckiej. Książka ta, wydana w r. 1925 nakładem Syndykatu Dziennikarzy Pomorskich, już przed wojną była rzadkim okazem bibliograficznym, jej egzemplarz znajduje się prawdopodobnie tylko w Książnicy Miejskiej w Toruniu, lub w Bibliotece Miejskiej w Bydgoszczy.

Nie jestem tego pewny. W każdym razie, gdyby zasła tego potrzeba, mogę służyć dr. Kaflowi szczegółami dotyczącymi rozwoju prasy polskiej na Pomorzu, gdzie wychodził taki na nasze stosunki fenomen, jak „Gazeta Grudziądzka”, która osiągnęła przeszło 100-tysięczny nakład w okresie swego szczytowego powodzenia.

Życie prasy polskiej na Ziemiach Zachodnich po traktowaniu fragmentarycznie w pracy, wyróżniającej na konkursie Związku Zachodniego w Poznaniu, pt. „Ziemia Mazurska za drutami”.

Leon Sobociński (Warszawa)

OSWIADCZENIE

Do redaktora „Odrodzenia”

W związku z ujemną opinią, z jaką spotkało się wystawienie przez Teatr Kameralny TURu w Krakowie komedii muzycznej Schureka pt. „Muzyka na ulicy”, jako b. kierownik artystyczny tego teatru do dnia 1 stycznia 1946 r. proszę o umieszczenie następujące oświadczenia:

Oświadczam, że wspomniana sztuka została zakwalifikowana przez obecne kierownictwo teatru i wystawiona mimo mego sprzeciwu popartego przez większość zespołu artystycznego.

Stefan Orzechowski (Kraków)

KATASTROFA

Do redaktora „Odrodzenia”

Wnaleziona przeze mnie ostatnio (w studium technicznym „Czas — to pieniądź”, „Odrodzenie”, nr 67), maszynka polemiczna jest nad wyraz delikatna. Najdrobniejsze ziarenko piasku w trybach może jej działanie zahamować. Katastrofa ta zdarzyła mi się już przy pewnym z nią eksperymentem. W cytowanym bowiem artykule zamiast „Reszta = 1, 6” ma być: „Reszta = 1, 7”, co zmienia zupełnie sens równania, gdyż 1, 7 oznacza „Wyzwiska”.

Artur Sandauer (Łódź)

W poprzednim (68) numerze „Odrodzenia” z dnia 17 marca: Konstanty Grzybowski: Paralele historyczne. — Jan Reichman: Stan i potrzeby wiedzy o powstaniu chochołowskim. — Józef Milobędzki: Wiersze marynarza: O Wiśle srebrnej. Mój dom. Dźwięczyna z koszem oliwek. Nieskończona dal oceanu. Skok z trampoliny. — Maria Jarochowska: Niemiecki dzień. — Malarstwo francuskie (Paul Cézanne: Człowiek z fajką). — Franciszek Gli: Zniwo wielkiej reformy. Władza ludu. — Malarstwo polskie (Józef Pankiewicz: Martwa natura). — J. A. Szczepański i Stanisław Marczak-Oborski: Dwa listy z Zakopanego. — Zbigniew Bieńkowski: Kierk, który przeżył wojnę. — Kazimierz Wyka: Powieść o żołnierskiej gromadzie. — Ludwik Łaskomy: Kraj niemych. — Wiktor Hahn: W sprawie polskich zbiorów teatralnych. — Tadeusz Dobrowolski: Wystawa pośmiertna Józefa Pankiewicza i Alojzego Majchra oraz zbiorowe Stefana Brzozowskiego i Jana Szczepańskiego. — Stanisław Byrski: Wystawa J. W. Mierzejewskiego w Łodzi. — Marian Promiński i Stefan Owinowski: Życie teatralne. — Zb: Przegląd prasy. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankietą „Odrodzenia”. — Nagroda literacka Krakowa. — Stefania Łobaczewska: Z życia koncertowego w Krakowie. — Marian Promiński: Kronika filmowa. — Sigma: Z teki dr Prota Sowizdrzała. — Korespondencja (Tadeusz Kowalski, Konrad Górski, Jerzy Milewski). — Premiera „Dwóch Teatrów”. — 10 ilustracji. — 12 stron.

JAN KOTT

MITOLOGIA I REALIZM

SZKICE LITERACKIE

TACYT

STENDHAL

GIDE

NADREALIŚCI

CONRAD

MALRAUX

CENA

ZŁ 190—

DO NABYCIA

WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„CZYTELNIK”

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIAŻKA”

Ukazało się nowe wydanie

J. PLECHANOW

„PODSTAWOWE ZAGADNIENIA MARKSIZMU”

Cena zł 30—

Z LITERATURY MARKSISTOWSKIEJ SA JESZCZE DO NABYCIA:

W. I. LENIN	— Karol Marks	5—
W. I. LENIN	— Dzieciactwo choroby lewicowości	20—
K. MARKS i F. ENGELS	— O materializmie historycznym	8—
K. MARKS i F. ENGELS	— Manifest komunistyczny	5—
K. MARKS	— Praca najemna a kapitał	5—
F. ENGELS	— Rozwój socjalizmu od utopii do nauki	5—
F. ENGELS	— Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej	8—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Centrala — Łódź, Piotrkowska 86, wysła za zaliczeniem pocztowym lub po otrzymaniu wpłaty na konto „Spoleme” — Łódź 52 lub P. K. O. Łódź VII/995.

MARIAN TYROWICZ

Nieznany biograf Kościuszki

„Rok kościuszkowski” zachęca do możliwie wszechstronnych poszukiwań źródeł historycznych do dziejów życia i myśli wielkiego Naczelnika w sukmanie i bohatera obu półkul. Każdy przyczynek jest cenny, każdy drobniak nie do pogardzenia.

Już dawniejsi i nowsi badacze-historycy zdążyli zgromadzić obszerny zasób materiałów najrozmaitszego typu, opracowań, pamiętek, odcisków, pism ulotnych i dzienników odnoszących się do Tadeusza Kościuszki. Z dawniejszych biografów — Leonard Chodźko i Lucjan Siemieniński, z późniejszych — Tadeusz Korzon, Feliks Koneczny, gen. Paszkowski, a z nowszych — Włodzimierz Dzwonkowski, Adam Próchnicki, Henryk Mościcki i Adam Skałkowski — wyzyskali te różnorodne materiały w swoich monografiach i studiach specjalnych. Wydawałoby się zatem — szczególnie dla ogółu czytelników dzieł historycznych — że pisać o Kościuszcze można jeszcze wiele, ale odnalazł oryginalnych i ciekawych materiałów dotyczących go, nowych oświeśleń — z pewnością nie dużo. Byłoby to mniemanie mylne, jak wykaże choćby niniejszy przyczynek, ale tragiczne losy polskich bibliotek, archiwów i kolekcji prywatnych w czasie wojny ostatniej uzasadniają w poważnej mierze pesymizm, że wraz z katastrofalnym zrujnowaniem narodowego skarbcza kulturalnego także pamiętki i źródła do dziejów Kościuszki ucierpieć musiały dotkliwie. Nieznane dotąd losy zbiorów raperswilskich, o których raz czyta się jako o zgorzłych od bomb, kiedy indziej jako o ukrytych gdzieś w głębi Niemiec, napawają troską najgłębszą tych, którym kościuszkowiana leżą szczególnie na sercu; a ileż rękopisów i druków, jeśli nie bezpośrednio do pośrednio dotyczących zwycięzcy spod Racławic, zamieniło się w popiół przy pożarze bibliotek warszawskich, poznańskich i innych rozproszonych po Polsce księgozbiorów klasztornych, dworskich, uniwersyteckich?

Dlatego uzasadnione wydaje się zwrócenie uwagi na to, o czym się wie, że istniało jeszcze przed pożogą ostatniej wojny i może gdzieś szczęśliwym trafem ocalało, czekając przypadkowym „odkrycia” i wydobywania na światło dzienne.

Piszącemu te słowa było dane, przy prowadzeniu kwerendy archiwalnej w bibliotekach lwowskich, wpaść na ślad nieznanego biografu Kościuszki — życiorysu jego, napisanego przez Tytusa Dzieduszyckiego w r. 1819, a więc w dwa lata po zgonie Naczelnika w Solurze. Mowa tu o rękopiśmiennym „Żywocie Tadeusza Kościuszki”, znajdującym się w ówczesnej Bibliotece Poturzyckiej (Dzieduszyckich) we Lwowie, w pliku zapisków literackich Tytusa Dzieduszyckiego. Odkrycie to odbyło się w r. 1939 — tuż przed wybuchem wojny. Parna atmosfera nadciągającego huraganu wprowadzała nerwowość nawet do zacisznych bibliotek. Brakło po prostu czasu na dokładniejsze zapoznanie się z manuskryptem. Jak często w poszukiwaniach naukowych, przyświecała nadzieja powrotu — jeszcze kiedyś, może niedługo — do tych papierów, do uważnej ich lektury.

Utwór Dzieduszyckiego nie był wyczynem literackim podjętym z popędu tak modnego podówczas grafomanstwa czy bezkrytycznego uwielbienia dla dopiero co zmarłego bohatera narodowego, nie narodził się również wyłącznie dla zaspokojenia ambicji naukowych autora. Był on odpowiedzią na ogłoszony przez Królewskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie konkurs na „pochwałę Tadeusza Kościuszki” z zapowiedzią medalu złotego dla tego autora, który „pochwałę historyczną tego Męża najlepiej napisze” (przez „pochwałę” w ówczesnej terminologii literackiej rozumiano życiorys w ujęciu nekrologiczno-panegirycznym, który ogłaszano lub wygłaszało najczęściej tuż po zgonie wybitnego człowieka, zawierający więc obok omówienia najważniejszych dat, charakterystykę osoby i jego roli w narodzie). Konkurs wyłonił się na uroczystym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dn. 1 lutego 1818 r. (a więc w 3 i pół miesiąca po zgonie Kościuszki) na wniosek prezesa Staszica, by „dla uczczenia w znaczny sposób cnót i zasług Najszanowniejszego Męża” ogłosić odpowiednio „wezwanie do Publiczności”. Wniosek, przyjęty jednogłośnie, był dyskutowany następnie na Wydziale Nauki, gdzie uchwalono, by owa pochwała „wysłowiła zasługi Zmarłego jako Obywatela i Wojownika”. Konkurs opublikowano w piśmie krajowym, a nawet zagranicznych (francuskich i niemieckich) i w r. 1820 poczęły napływać pierwsze prace.

Jedną z nich była właśnie biografia skreślona w r. 1819 przez Tytusa Dzieduszyckiego. Nadeszła oczywiście anonimowo pod mottem wyjętym z „Eneidy” Wergilego (ks. XII): „Tu facito, mox cum natura adoleravit aetatis memora, et te animo repentem exempla tuorum...” i ogół członków Towarzystwa wie-

dział tylko, że praca pochodzi „z okolic Lwowa”. Otrzymał ją do recenzji Julian Ursyn Niemcewicz i Kajetan Koźmian.

Kim był autor?

Historyk Towarzystwa Przyjaciół Nauk, autor wielotomowej o nim monografii, Aleksander Kraushar, wspomina niektóre szczegóły konkursu, ale o Tytusie Dzieduszyckim nie wie ani słowa. Tytus Dzieduszycki tymczasem, to człowiek i pisarz niezwykle ciekawy, choć równocześnie prawie zupełnie nieznany; nie zajął się nim ani jeden z historyków piśmiennictwa w Polsce: ani współczesny ani potomny, (może winien sobie sam Tytus, kryjąc się we wszystkich głośniejszych swych wystąpieniach pod pseudonimem „Philopolskiego”). Przedstawiciel szlachty podolskiej, a z wieku mniej więcej członek tego pokolenia pisarzy, do którego należeli Aleksander Fredro, Kazimierz Brodziński, Fryderyk Skarbek — nie wszedł nigdy czynnie w krąg idei romantycznej; pozostał do śmierci racjonalistą. Uważany przez całe życie za wolterianina i kantystę (później heglistę), już jako młodzieniec znany był w ówczesnych kołach ziemiańskogalicyskich jako oryginał, który chadza własnymi ścieżkami, niechętnie poddaje się wpływowi postronnym, wyznaje w polityce poglądy raczej zachowawcze, w gospodarce i nauce hołduje postępowi. Taką opinię przekazał o nim jedyny jego dokładniejszy biograf, Maurycy Dzieduszycki („Kronika domowa Dzieduszyckich”), którego trudno podejrzewać o zbytę życzliwości dla Tytusa; tenże z okazji odebrania Jerzemu Lubomirskiemu kuratorii nad Zakładem Narodowym im. Ossolińskich na rzecz Maurycego (1851) — rozwinął przeciw kuzynowi swemu i popierającemu go namiestnictwu austriackiemu tak zaciętą kampanię, że ówczesny namiestnik Gołuchowski zagroził mu aresztowaniem. Tytus Dzieduszycki, urodzony tuż po trzecim rozbiore (1796) jako syn Wawrzyńca, adju-tanta kościuszkowskiego pod Racławicami i Szczekocinami, kształcony w domu, pojechał chciej wiedzę i rychło jął się pióra już jako 23-letni debiutant atakując eksrektora uniwersytetu wileńskiego Jana Śniadeckiego w obronie filozofii Kanta. Następnie przez szereg lat zajmował się krytyką literacką, teatralną i przekładami (przekładając swobodnie z dziedziny filozofii do agronomii), w r. 1825 znówuż natarł ostro na Niemcewicza za jego romans historyczny „Jan z Tęczyna”, co wywołało szereg głosów polemicznych i ożywiającą dyskusję. Między dwiema polemikami narodził się życiorys Kościuszki.

Musiła i ta praca zawrzeć w sobie sporo myśli oryginalnych, ocenę śmiałą czynów Kościuszki, szczególnie pod względem politycznym, bo surowy augur, jakim w opinii współczesnej był Niemcewicz, sam towarzysz bliskich bojów i kaźni Kościuszki — w liście do autora wydał o dziele jego sąd niezwykle pochlebny. Donosił, że praca zasługuje na pierwszą nagrodę i zyskała ogólną aprobatę ale ponieważ „z powodów politycznych” nie może być publikowana, tym samym ominąć ją musi zaszczytne wyróżnienie. Jakież to mogły być „powody polityczne” uniemożliwiające druk w Warszawie, tej samej, która zgon Naczelnika celebrowała w wyjątkowo podniosłych uroczystościach żałobnych, ze wszystkimi oficjalnymi akcesoriami? Rok 1822 i 1823, kiedy ważyła się sprawa nagrody, to lata coraz groźniej wzbierającego konfliktu między liberalnie nastrojoną opozycją kaliską w Kró-

lestwie Polskim i jej adherentami w społeczeństwie a caratem, narzucającym raz po raz nowe formy ucisku. Niewykluczone, że w pracy swej o Kościuszcze Dzieduszycki nie powstrzymał się od aluzji, porównań, przypomnień; wszak królem Polski był w owym czasie cesarz Aleksander, który miał żywe stosunki z Kościuszką. Mogły być przeszkody polityczne i inne. Nie mając rękopisu-źródła pod ręką, nie możemy snuć zbyt dowolnych hipotez ani poddawać się sugestii choćby najbardziej ciekawych domysłów. „Pochwała” czeka na swego krytyka i historyka. Zaslugałaby na zbadań również jako zabytek piśmiennictwa — tak ubogiego w owej dobie w talenty — zaboru austriackiego, jako wreszcie specjalny gatunek literacki.

Jest to zadanie, które przyświecać powinno Komitetowi Kościuszkowskiemu w dwóchsetlecie urodzin wodza spod Racławic i Maciejowic. Biblioteka Poturzycka jako jednostka autonomiczna już nie istnieje. Jej cenne zbiory ksiąg, archiwaliów i dzieł sztuki przeniesione zostały jeszcze jesienią 1939 r. do Ossolineum jako ówczesnej filii Kijowskiej Akademii Nauk i doń wcielone. Przy podjęciu odpowiednich starań i przy dobrej woli nieznany „Żywot Kościuszki” mógłby dotrzeć do rąk historyków polskich, stać się przedmiotem badań i zostać ogłoszony drukiem.

Kilka słów jeszcze warto poświęcić zakończeniu konkursu warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Prac napłynęło cztery: jedna z Paryża w języku francuskim, w której można by się dopatrywać dzieła Piotra Maleszewskiego, szczerze konkursem zainteresowanego, jak dowodzi korespondencja jego z Towarzystwem (Maleszewski — postać to nader ciekawa: syn naturalny Prymasa Poniatowskiego, przebywający od Wielkiej Rewolucji do końca życia we Francji, świadek poufnych narad Kościuszki z Robespierrem, uważany za jego zaciętego antagonistę — był obeznany znakomicie z całą zakulisową historią zagranicznych związków Kościuszki i opinią o nim współczesnych). Druga praca również francuska była niewiadomego proveniencji nawet co do miejsca pochodzenia (Kraushar nie zna bliższych szczegółów); po niej wpłynęły dwie polskie: jedna pióra Dzieduszyckiego, druga z województwa kaliskiego (oddana do oceny Staszicowi). Recenzowanie trwało sposobem pseudoklasyków niebywale długo; dopiero 14 maja 1823 Feliks Bentkowski, „pierwszy dziejopis naszej literatury”, zreferował na posiedzeniu wynik konkursu. Żadna z czterech prac — zdaniem jego — nie zasłużyła na uwieńczenie nagrodą (niewątpliwie co do utworu Dzieduszyckiego działały tu przeszkody, opisane w liście Niemcewicza). Według Bentkowskiego najbardziej zasługiwałyby na wyróżnienie praca, nadesłana z Francji, której autor sam domagał się sprostowań stylistycznych i historycznych. Wniosek referenta nie podzielili jednakże inni członkowie Towarzystwa i konkurs został przedłużony. Po roku wpłynął jeszcze jeden elaborat pod godłem: „Rara temporum felicitas”, który oddano do oceny 4-osobowej już komisji, składającej się z Niemcewicza, Koźmiana, F. Bentkowskiego i Tarnowskiego.

Jakie były dalsze losy konkursu, brak wiadomości; dlatego zarówno sam przebieg ciekawej rywalizacji biografów, jak i autorstwo poszczególnych żywotów, ich wartość i kolejno-odnośnych rękopisów zasługiwałyby na skrzętnie zbadań.

Marian Tyrowicz

WŚRÓD KSIĄŻEK

Géza Gárdonyi. Chłopska dziewczyna. Opowiadanie. Przetłumaczył z węgierskiego Tadeusz Fangrat. Poznań, Księgarnia Wł. Wilak, 1945; str. 30 i 2 nl.

Géza Gárdonyi (ur. 1863 — zm. 1922) należy do minionego już pokolenia literackiego i dostąpił rangi klasycznej prozy węgierskiej. Proletariusz z pochodzenia, nauczyciel z zamiłowaniem i wykonywanego zawodu, większość swych utworów poświęca studium chłopstwa węgierskiego, z którym miał styczność przez wiele lat swej pracy pedagogicznej na wsi. Na jego dobro należy policzyć to, że obrany przez niego temat literacki nie był wówczas tak „fotogeniczny” — jak może on się dzisiaj wydawać. Toteż za życia Gárdonyi nie wiele miał sukcesów w swej pracy, co przyczyniło się nawet do zgorzknienia tego bezpośredniego w swych wypowiedziach, szlachetnego i prostego artysty. Należy ocenić go dopiero potomność. Do wybitniejszych jego dzieł należą: „Niewidzialny człowiek”, „Egerek gwiazdy”, „Niewolnicy Boga” i „Moja wieś”, której fragmentem jest omawiana właśnie „Chłopska dziewczyna”.

W formie opowieści jakoby autentycznej autor szkicuje postać swego przyjaciela Miklosa Szalaya, tak samo jak on nauczyciela, i historię jego romansu z węgierską dziewczyną Julą. Zetknięcie się tych dwojga jest przypadkowe i z góry nosi w sobie znamiona tragicznego niedoboru i nieporozumienia. On człowiek miasta i kultury, ona — niewiadoma życia, psychiki inteligenta, dystansu — już nie społecznego, ale intelektualnego ze swym ukochanym — uroczą, prostą, szlachetną samica. W tym obrazku Juli tkwi coś, z czym byśmy własnie chcieli polemizować; passem przesuwać, który wydaje się nam nie do wiary. Szalay kocha tę chętnie, a mimo to wie na pewno, że ona nie jest stworzona na towarzyskiego życia, w ogóle tej myśli nie dopuszcza do siebie. Czyżby węgierska dziewczyna węgierska sprzed 30 czy 40 lat była aż taką „asztanką”? I tak mówi przyjaciel ludu?

Ale pozostałby w ramach utworu. Jego treścią jest błądzenie tych dwojga w magicznym kole uroku, jaki na siebie wywierają. Dziewczyna znosi dwuznaczną sytuację z powodu swego romansu i raz z ojcowskiej ręki bez sprzeciwu a równocześnie bez nadziei, by związek, w którym pozostaje, był trwały. Widzi w nim tylko tymczasowe szczęście, którym będzie musiała wypełnić jakoweś dni późniejszego życia bez ukochanego i o to nie nosi w sobie żadnego żalu do uwodziciela. Tu buntujemy się po raz drugi, Julia jest w swym romantycznym bohaterstwie aż irytująca. Powatpie-wamy, czy nauczyciel Miklos Szalay, mały w gruncie rzeczy człowieczek, jest jej godny. I Szalay rzeczywiście spełnia pokładane w nim niezbyt wysokie nadzieje; doradza Juli wyjść za mąż za statecznego węgierskiego młodzieńca. Julia i te sugestie wypchnięcia bez sprzeciwu. Inna rzecz, że Miklos będzie musiał okupić swój klasny egoizm wieczną za nią tęsknotą, jak zdołać, będzie się skradł do rodzinnej wsi Juli, by móc chociaż uściśnąć i pogłaskać sześciolatniego synka Juli, nie swego synka — tylko Juli Harmaczi, jej chłopięcego męża. Nauczyciel Szalay widzi w tym tragizm losu i romi- teczki, czy dostaje wypieków wstydu, ale do końca wierzy, że tak się musiało stać. A czytelnik? Czytelnik jest zupełnie odmiennego zdania. A czy na to sama bohaterka? Pogodny chłopski realizm pomaga jej wyjść zwycięsko z tego niebezpiecznego zakrętu w życiu i prosto i spokojnie iść dalej — wzbogaconej o piękne wspomnienie.

Poza naprowadzonym już zastrzeżeniem natury ideopoznawczej książeczka nie budzi już żadnych innych. Utrzymana jest w tonie subtelnej liryzmu i nosi wszelkie znamiona dojrzalego, świadomego kunsztu pisarskiego. Przetłumał poprawny.

Xenia Zytomirska. Jan i Małgorzata. Powieść. Warszawa, Eugeniusz Kuthan, 1945; str. 223 i 1 nl.

Powieść Zytomirskiej tematyką uderza w dwie struny znajdujące żywy odzwiek w pracy zawodowej piszącej te słowa. Są to bowiem perypetie małżeńskie literatki (jestem literatem), opowiadanie zaś ujęte jest ramowo w kronikę, spływającą jakoby przez administrację domu, w którym literatka na swą biedę pokładała się z mężem (jestem administratorem domu literatów przy ul. Krupniczej 22 i mam w tym niejaka praktykę). Otóż żałuję, że nie byłam nim jeszcze w tych czasach, kiedy Zytomirska mieszkała w tymże przeżyciu, mnie administratorem domu, miałabym bowiem okazję do napisania lepszej kroniki o nieszczejnej i niezrozumianej Małgorzacie, starałabym się nie pruć kieszek takim nudziarstwom co fikcyjny administrator w powieści i nie szukałabym głębi na piyt-kiej wodzie.

Ale żart na bok. Wątkiem powieści jest historia Małgorzaty Waszkiewiczowej, intelektualistki, pisarki, ba, członkini PEN-Klubu (myślę, że to na wyrost), zawieszonej między mężem Janem, filistrem, który chciałby ją widzieć kobietą z gatunku „pula domestica”, a niedostępnym kochankiem Włkiem, wzrostu 186 cm, który szarpał-by-ja, łasał-by-ja, ale Małgorzata daje się ledwie skoszować; srebrnego lisa kupuje sobie sama, wszystko sama, sama, sama — tak wysoko ceni swoją niezależność; rzuca obydwo, mieszkając pozwala sobie zlicytować, zaszywa się w ustronny kąt (garsoniera, meble znowu na raty) i... prawdopodobnie będzie pisać powieść.

Przy tym wszystkim powieść nie jest całkiem zła; gdzie temperatura kłaski podnosi się o kilka kressek — w decydującej rozprawie z mężem, w rozmowach bohaterki z Włkiem, uwodzącym z krwi i kości — i zarysowują się prawdziwie problemy psychologiczne i widać, że autorka umie rzeczywiście „wysłuchiwać”. Pomysł na temat byłby chęć ujęcia tej treści w zanadto budową i formę, a wykresy i tabele administratora ze spłenniem i le pp. Waszkiewiczowie skosmowali bułek, masła, szynki itd., wyglądają na dziwactwa.

Władysław Rymkiewicz. Ludzie bez jutra. Powieść. Warszawa, Eugeniusz Kuthan, 1946; str. 284 i 4 nl.

Książka Rymkiewicza jest napisana w 1938 r., a traktuje o zdarzeniach jeszcze wcześniejszych, dlatego autorowi nie udało się wielu poruszonych tam spraw uratować od szybkiego wietrzenia, któremu ulegają nielotnie lub zanadto typowo ujęte problemy w niezwykłych naszych czasach. Gdyby było do głębi ogólnoludzkie, przetrwałyby, ale widocznie tak nie jest.

Zainteresowanie autora skupia się w tej powieści obyczajowej dokola dwóch postaci: dyrektora zakładu przemysłowego „Industria”, Bartlitza, i adwokata Adama Dobranickiego. Obie te postaci raczej tracą się o siebie w peryferiach swoich działań, niżby miały się w akcji o siebie mocniej zebrać. Bartlitz — to typowy (aż zanadto) dyktator, karierowicz, przez ożenek pny się po drabinie społecznej, egoista, kobieciarz-pławka, szantażujący swoje sekretarki. Spotkał go też zasko-żony los — ostatnia ofiara kładzie kres jego płaskiemu żywotowi kulą rewolwerową. Ciekawszą postacią jest Dobranicki — spadkobierca po ojcu głośnego w palestrze nazwiska, całe życie ubolewający nad pomyką w wyborze zawodu wbrew powołaniu. Wszystko co się dzieje w jego życiu, idzie jakby siłą ciężkości, prawem nawyku, znowy otoczenia. Nawet wówczas, gdy Dobranicki już zbuntowany, odważa się rzucić Warszawę ze wszystkim, co mu ona dała, by szukać wątpliwego szczęścia na posadzie konsularnej w Lille — nie wychodzi to. I kochanka Ija, nieciekawa zresztą, zbryzdała mu i agorafobia po czterdziestce też ma swoje prawa. Zawraca z drogi. Dopiero kiedy w tym pogardzanym przez niego zawodzie adwokackim udało mu się dzielnie obronić w sądzie niewinnego człowieka, odnalazł właściwy smak i sens swego niedatego życia — mianowicie w altruizmie, w służeniu ludzkości uciśnionym. I to jest pozytywny sens powieści Rymkiewicza.

Autor porusza się swobodnie w życiu palestry warszawskiej i ta faktura najlepiej mu wychodzi. Poza tym, poza postacią Dobranickiego, wszystkie inne zanadto „gotowe” i szablono-we wstępują na karty książki. Autor ulega perswadowi, zarówno stylistycznym jak i charakterologicznym, jakby zadowolony, że znalazł się dla kogoś formułkę, nie musi się już więcej wysilać, a szkoda, bo można by przy pewnym pogłębieniu podwyższyć klasę tej do-brej, ale jednak drugorzędnej literatury.

Marian Promiński

Z WYSTAWY POŚMIERTNEJ JÓZEFA PANKIEWICZA



JÓZEF PANKIEWICZ (1866—1941)

Pejzaż, miedzioryt

Chłopski parlament

W dniach 10, 11 i 12 marca odbył się w Warszawie Drugi Krajowy Zjazd Związku Samopomocy Chłopskiej. Zjazd ten nazwano słusznie pierwszym w Odrodzonej Polsce parlamentem chłopskim. Pierwszy bowiem kongres Związku Samopomocy Chłopskiej, który odbył się 14 miesięcy temu w Lublinie, nie reprezentował ani wszystkich połaci Rzeczypospolitej, (gdyż duża część kraju była w rękach hitlerowskiego okupanta), ani też nie mógł dać pełnego odbicia nastrojów wsi polskiej w tej części kraju, która została wyzwolona przez Wojsko Polskie i Armię Czerwoną, gdyż Związek Samopomocy Chłopskiej znajdował się w owym czasie dopiero w stadium organizacji.

W ciągu czternastu miesięcy, jakie upłynęły od pierwszego zjazdu, Związek Samopomocy Chłopskiej stał się potężną, liczącą około 700 tysięcy członków, chłopską organizacją zawodowo-gospodarczą. Podobnie, jak Związki Zawodowe reprezentują miejski świat pracy, Samopomoc Chłopska jest przedstawicielką i obrończynią interesów pracujących wsi. Ze względu jednak na specyficzne warunki społeczne, gospodarcze i kulturalne wsi, zasięg działalności tej nowej chłopskiej organizacji jest w porównaniu ze Związkami Zawodowymi o wiele szerszy i głębszy. Oprócz bowiem prowadzenia na zasadach spółdzielczych tzw. resztek, które mają spełniać rolę ognisk kultury rolnej, Związek Samopomocy Chłopskiej jest organizatorem życia zawodowego, gospodarczego, kulturalnego i społecznego nowej wsi polskiej, powstałej na skutek reformy rolnej i tych wszystkich przemian społeczno-gospodarczych i politycznych, jakie zapoczątkował Manifest Lipcowy — należą doń zatem zarówno bezpartyjni chłopci, jak i przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych na terenie wsi.

Zrozumiałe jest więc owo wyjątkowe zainteresowanie, z jakim spotkał się Drugi Krajowy Zjazd Związku Samopomocy Chłopskiej. Waga polityczna tego zjazdu wypływa bowiem nie tylko z roli, znaczenia i liczebności kół Samopomocy Chłopskiej, ale też z tego faktu, że ze wszystkich dotychczasowych zjazdów chłopskich w Polsce Ludowych zjazd ten był niewątpliwie nie tylko najbardziej wiernym odbiciem nastrojów, nurek i oczekiwań wśród chłopów, ale i odzwierciedleniem ukladu sił politycznych na wsi. Zainteresowanie zjazdem było poza tym spowodowane obecną sytuacją wewnątrz-polityczną, powstałą na skutek odrzucenia przez kierownictwo PSL propozycji utworzenia wspólnego bloku wyborczego.

Jadąc na zjazd zadawaliśmy sobie pytania: Jakim przemianom uległa wieś po tej tak radykalnej reformie rolnej? Czy i jakie siły wyzwoliła na wsi rewolucja agrarna? Jak myślą i co czują chłopci, od których stanowiska zależy jest w dużej mierze dalszy los ludowej demokracji w Polsce? Jak ustosunkują się oni do nowej rzeczywistości polskiej i jakie drogi dalszego rozwoju wytyczą wsi polskiej? Odpowiedzi na te wszystkie pytania oczekiwaliśmy od zjazdu i odpowiedzi te otrzymaliśmy. Otrzymaaliśmy więcej, niż można się było spodziewać.

Wygłoszone na zjeździe referaty i obszerna, rzeczowa dyskusja oraz uchwały poszczególnych komisji zjazdowych dały obraz tych głębokich przemian, jakim uległa wieś po rewolucji agrarnej. Znaczenie reformy rolnej nie sprowadza się bynajmniej tylko do likwidacji obszarowych folwarków i nadzielenia ziemi małorolnym lub bezrolnym. Rewolucja agrarna zerwała feudalno-obszarowo-kapitałistyczne pęta, które kępowały lub wprost uniemożliwiały dotychczasowy rozwój i postęp społeczny wsi polskiej. Nie chodzi bowiem tylko o nasycenie chłopskiego głodu ziemi. O wiele ważniejsza jest społeczna rola reformy rolnej. Wieś polska, uwolniona spod patronatu dworu, poczuła się wolna. Zbudziły się w niej niespotykane dotychczas aspiracje społeczne, kulturalne, cywilizacyjne. Chłop pragnie nie tylko mieć swój warsztat pracy, który zabezpieczy byt jego i jego rodziny; chce ponadto żyć godnie, jak przystało na kulturalnego człowieka. Pragnie posiadać swoje dzieło, „do szkół” chce mieć w domu radio, „elektrykę”, gazety i książki. Pragnie posiadać schłodzonego kurczaka, czysty, wygodny, dobrze urządzone dom mieszkalny i nowoczesne budynki gospodarskie; przez zastosowanie do uprawy roli nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych chce wyzwolić się od przekleństwa 18-godzinnego dnia pracy. Nie ilość posiadanych „morgów”, ale jakość gospodarstwa staje się jego celem. Jego działalność gospodarczą przekształca się z ekstensywnej w intensywną. Realizację swych, zbudowanych przez rewolucję agrarną dążeń widzi w planowym, nowoczesnym budownictwie wiejskim, w stworzeniu na wsi wytwórczego przemysłu rolnego, który by przetwarzał na miejscu rolnicze surowce i półfabrykaty w gotowe już do spożycia produkty rolne, w szeroko rozgałęzioną spółdzielczość, obejmującą całość wymiany pomiędzy wsią a miastem, w daleko idącą specjalizację produkcji rolniczej, bardziej dochodowej przez zastąpienie dotychczasowej, mało opłacalnej gospodarki żytnio-kartoflanej na uprawę buraka cukrowego, roślin przemysłowych lub intensywnych hodowli.

Z zapałym oddechem słuchali na zjeździe chłopskiej delegacji przemówienia pisała do KRN St. Cieślaka, który roztaczał przed nimi wizję nowej, zamożnej, kulturalnej, szczęśliwej wsi polskiej. Huraganem spontanicznych oklasków i okrzyków nagrodzili zebrani ten rzeczowy, głęboko przemysłany referat. Podobnie reagowano na wszelkie inne rzeczowe, konkretne wystąpienia. Wystąpienia te i reakcja sali świadczyły o pełnej dojrzałości politycznej wsi polskiej. Dowodzi to, że tania demagogia, frazesami bez pokrycia nikt już dzisiejszej polskiej wsi zbałamucić nie potrafi. Chłop, jak może żądać inna

warstwa społeczna, ma głębokie poczucie rzeczywistości. Trafiać do jego rozsądku i serca potrafi tylko ten, kto przychodzi do niego z gotowym, konkretnym programem i może wylegitymować się czynami, które potwierdzają możliwość szczerzego zrealizowania tego programu. Ta dojrzałość polityczna przebiegała nie tylko z rozmówien i reagowania sali. Odzwierciedlała się ona również w odrzuceniu przez chłopów-delegatów wszelkich uznanych przez nich za niesłuszne wniosków, dotyczących spraw gospodarczych, kulturalnych, czy też wyboru członków Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej. Dojrzałość tę widzieliśmy też w potępieniu tych, co rozbijają jedność wsi polskiej, lub chcą rozluźnić jej braterskie więzy z miastem. Dojrzałość ta przejawiała się również w stosunku, jaki zajął zjazd wobec problemu świadczeń rzeczowych. Dojrzałość ta przejawiała się w krytyce niektórych pociągnień rządu w dziedzinie rozdziału artykułów przemysłowych dla wsi, czy też polityki cen itp. Zjazd dowiódł, że nie można narzucić chłopu tego, co uważa on za niesłuszne, niesprawiedliwe czy nie

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia”

Wojciech Bak: W tej chwili nie wydaję żadnej książki. Pracuję nad esejami z zakresu zagadnień literackich. Poza tym piszę wiersze. Jeśli chodzi o plany na najbliższą przyszłość, to zamierzam przede wszystkim pomyśleć o przepisaniu dorobku 6-letniego, który jest spory. Przeszkoda — brak czasu i konieczność zarabkowania.

Stanisław Furmanik: Jesienią ubiegłego roku ukończyłem rekonstrukcję pracy pt.: „Podstawy wiersyfikacji polskiej”, którą w trzech czwartych miałem już gotową w lipcu 1944, ale która na skutek powstania warszawskiego strachu. Praca ta powinna się ukazać w najbliższych miesiącach, wydana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Polonista” w Łodzi.

W styczniu — lutym bieżącego roku napisałem rozprawę „Kompozycja metryczna „Ballady” Słowackiego”. Rzecz dość specjalna, dotycząca charakterystyki wiersza w „Balladynie”, struktury fonicznej-rytmicznej utworu i jej roli w ogólnej kompozycji dramatu Słowackiego. Do napisania tej rozprawki pobudziło mnie przedstawienie „Ballady” w Krakowie, oraz głosy krytyki, które dotyczyły zagadnienia wiersza. Rozprawka ta ma być drukowana w księdze pamiątkowej ku uczczeniu 40-lecia pracy naukowej prof. J. Kleina.

Od dawna rozmyślałem i po trosze pracuję nad teorią rodzajów i gatunków literackich. Sprawa trudna i żmudna. Chodzi bowiem nie tylko o zgromadzenie odpowiedniego materiału merytorycznego, ale również o przemysłanie szeregu zagadnień z ogólnej teorii sztuki, oraz metodologii nauki o literaturze, która w ostatnich kilkunastu latach przechodziła głębokie kryzysy.

Interesuję się również filmem. Wygłosiłem parę referatów (w kółkach zamkniętych). Ale prace te traktuję marginalnie i nie wiem, czy i kiedy znajdę sposobność do ich opublikowania.

Krzysztof Grzybowski: Jestem w tej chwili w poszukiwaniu nakładu na monografię pt.: „Teatr krakowski pod dyktando Pawlikowskiego” oraz na tom szkiców literackich pt.: „Kuranty”. Prócz tego mam w przygotowaniu dwie sztuki teatralne — jedną historyczną, drugą współczesną względnie z czasów okupacji. Byłyby już dawno gotowe, gdyby nie to, że czas, wolny od innych zajęć, który mogłabym poświęcić na pisanie, zajmuje mi przezwyciężanie dorywczej pracy zarobkowej. W dalszych planach — praca nad historią teatru krakowskiego w dziewiętnastym wieku.

Rudolf Langrod: Przygotowuję nowe wydanie mojego komentarza o państwowym podatku dochodowym, przy współpracy dr Karola Birseffera, prezesa Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Z uwagi na zasadnicze zmiany ustaw podatkowych w związku z przemianami społecznymi w Polsce, rozszerzam komentarz ten na inne rodzaje podatków bezpośrednich, a więc podatki obrotowy, od wzbogacenia się, wojskowy i od wynagrodzeń. Prócz sporadycznych artykułów przeznaczonych dla pism fachowych prawniczych, opracowuję system skarbowości polskiej państwowej i samorządowej. Rzecz ta tworzy się powoli i w miarę przemian w ustawodawstwie, tej zasadniczej dziedzinie administracji publicznej. Póki Warszawa strawił wraz z moją biblioteką mój rękopis, daleko już posunięty, zawierający słownik ekonomiczno-prawniczy. Uciekała i uciekała się (jako wędrowny nauczyciel) po zniszczonej kieleckiej nie umiała mi odzwierciedlać go. Obecnie znowu się zabieram do tego żmudnego dzieła, ze specjalnym uwzględnieniem socjologii i spółdzielczości. Brak materiałów pomocniczych daje się odczuwać dotkliwie. Wreszcie, o ile chodzi o moje plany na najbliższą przyszłość, to zamierzam znowu wydawać przed wojną i redagowany przez inną kwaterkę polskiego prawa i gospodarstwa narodowego w języku angielskim pt.: „Review of Polish Law and Economics”. Publikacja ta będzie przeznaczona dla świata anglosaskiego i zawierać ma oprócz informacji i wyjaśnień z dziedziny publicznej administracji Rzeczypospolitej wyciągi i sprawozdania z prac ekonomicznych, prawniczych i socjologicznych, ukazujących się w publikacjach polskich i zagranicznych.

Tadeusz Pelper: 1) Złożyłem w „Czytelniku” skrypt książki „Krzysztof Kolumb, odkrywca”. 2) Obecnie kończę ustalanie tekstu kilku fragmentów pamiętnikarskiej książki pt.: „Pierwsze trzy miesiące” (wrzesień — listopad 1939) — które to fragmenty pragnęłbym opublikować w periodykach.

3) Jeśli w pracy nie napotkam przeszkód, zajmę się w najbliższej przyszłości przygotowaniem esaju, którego tytuł prawdopodobnie będzie brzmiał: „Polska i zagranica w Tadeuszu Kościuszkę”.

Stanisław Płatak: Też własny ukazał się dwie moje publikacje książkowe. Nakładem „Czytelnika” wydję tom opowiadań „Front nad Wisłą”, nakładem Biblioteki Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich” wyjdą poezje wybrane („Dom rodzinny”).

Planów pisarskich na najbliższą przyszłość nie mam — nie marzę o wielkim dziele, co mi się zdarzało do tego czasu. Po przerwie trzydziestoletniej wrócić do literki osobistej i napisać w ciągu grudnia i stycznia nieco wierszy. Zapewne i w najbliższym czasie będę je pisał dalej.

Powieść na zamówienie społeczne mógłbym napisać, gdyby mnie zmusiło do tego życie. Poza tym myślę o nowej swojej sztuce teatralnej, ale skoro cztery poprzednie („Buntownicy”, „Rodzina chłopska”, „Zareczyński w Nadolnie”, „Wieczory prowincjonalne”) nie znalazły łaski ani w komisji ministerialnej, ani u krytyków, więc chyba nie warto.

Pisałem w czasie wojny dość dużo, dlatego mogłabym w tej chwili wydać jeszcze kilka książek. Przygotowałem do druku tom nowel wierszowa-

nych (powieści, opowieści, ballad, żartów), które nazwałabym „Swawolne i smutne powieści”, jak i powieść wolnym wierszem „Student Paweł” — o życiu w małym miasteczku prowincjonalnym. Poemat z czasów okupacji „Partyzant i dziewczyna”, jak i inne poematy może znane sprzed wojny, a ukończone ostatnio, prześlę „Czytelnikowi”, ale jeszcze nie określił czasu ich wydania.

Oczywiście pracowałem i nad prozą, ale nie ciekawego nie napisałem. Trzy moje powieści, które pochłonęły mi cztery lata czasu, gotów jestem spalić, tak mi są dzisiaj obce. Opracowałem jedynie po raz trzeci „Jasną Kunęfala”. Pertraktacje co do wydania książki toczą się już kilka miesięcy z wydawcą, M. Kowalskim z Katowic.

Oto wszystko, co mogę napisać o swoich planach i pracach.

Andrzej Rybicki: 1) Nie wydaję obecnie żadnej książki, ponieważ teksty, nad którymi pracuję, wymagają jeszcze wykończenia. 2) Piszę nowy dramat; ukończę go prawdopodobnie w ciągu trzech tygodni. Następnie będę pracował nad naniem ostatniego kształtu trzem ostatnim pieśniom eposu, napisanej w czasie wojny.

3) Moje plany pisarskie na najbliższą przyszłość wiążą się w głównej mierze ze sceną — i z teatrem radiowym, gdzie pragnę kontynuować próby tworzenia dramatu radiowego.

Józef Szeradzki: 1) Opracowuję dzieje Zakonu krzyżackiego. Nie korektura poglądów, ale rewizja całego obrazu (politycznego, gospodarczego, społecznego), — możliwa i potrzebna dziś, gdy proces walki o Bałtyk został wreszcie rozstrzygnięty i niemiecki plan upadł. Zadanie rośnie w miarę wysiłku sprostania mu. Dobrze będzie, jeżeli zakończenie pracy oddmie się o kilka tylko miesięcy. Tymczasem wydawca gotów zażądać zwrotu za licencję, która należy już do świata mitów.

2) Sprawy w. Stanisława. Być może, że istnieją dane, do rozszerzenia kregu źródeł, oczywiście bardzo pośrednich, przez rozpatrzenie świadków wcześniejszych cudów i określenie tą drogą nie tylko pierwotnego ośrodka kultu, ale i środowiska politycznego. Badania prowadziłyby od hagiografii do żmudnych poszukiwań genealogicznych.

3) Mam w planie temat: Marx w Polsce. 4) Chciałbym wydać zebrane artykuły publicystyczne, dopóki nie nowymi. Musiałbym jednak wprawić: a) znaleźć wydawcę i b) pozbyć się wątpliwości, czy wspomniane prace są tego warte. To drugie jest niewymownie trudne, trudniejsze nawet od pierwszego.

Tadeusz Słoko: 1. Od Nowego Roku drukuję się nakładem PAU dalszy tom mojej „Literatury greckiej” (wiek III—I przed Chr. ok. 40 ark. druku), zredagowany w latach okupacji (wraz z dokończeniem w gotowym tomie IV, obejmującym wiek I—VII po Chr.).

2. Piszę obecnie historię starożytnego cywilizmu, jako filozofię spauperyzowanej inteligencji, dotychczas nalezycie nie opracowaną i niedocenioną, a poza tym drobnymi artykułami filologicznymi zasilał „Meander”.

3. Chciałbym doczekać się druku dwóch prac łacińskich (O prefacji Historii Polskiej Długosza i O chronologii Plutarcha, Lucjusza i romansopisarzy greckich), dawno gotowych. Dalszych planów nie mogę snuć, bo skończyłem 68 lat.

Stefan Zółkiewski: Zajmuję się filozofią kultury i metodologią nauk humanistycznych.

Możność pracy w tych zakresach jest dla mnie niestety całkowicie uzależniona od odzyskania utraconego przez okres okupacji sprawności naukowej. A polegałoby to na wyłączeniu oddaniu się tym sprawom, wypełnieniu luk w lekturze, przeprowadzeniu szeregu przygotowawczych studiów, zapoznaniu się z dorobkiem uczonych zagranicznych, od których wylęliśmy tak długo odciąć.

Dopiero wtedy można by myśleć o pisaniu książki metodologicznej.

Imna sprawa, że książka taka poświęcona formalnym rygorom poprawności i naukowości badań nad kulturą i człowiekiem jest niezmiernie potrzebna, jeśli nauki te mają odegrać właściwą rolę społeczną, uźbroić człowieka w godne zaufania narzędzie planowego działania kulturowego.

Lecz aby nad taką książką pracować, trzeba by być stypendystą naukowym. Tymczasem warunki pracy w kraju wymagają i ode mnie poświęcenia całego niemal czasu działalności administracyjnej, zaspokajaniu doraźnych potrzeb organizowania życia kulturalnego.

Toteż dziś mogę tylko planować na daleką przyszłość książkę o aktualnych problemach metodologii nauk humanistycznych. Książka, która by na drodze analizy zachowania się naukowego (językowego i psychologicznego) humanisty ustaliła treść i zakres najogólniejszych i fundamentalnych pojęć tych nauk, jak pojęcie istnienia lub prawdy w języku nauk humanistycznych, poprawnego i sensownego zdania nauk humanistycznych, wreszcie pojęcie człowieka w języku tychże nauk. Sądzę już dziś, posiadając do takiej książki zaledwie luźne materiały, że pozwoliłaby ona wykażać do wdrodnie, iż odpowiedź na pytanie, jak poprawnie konstruować wskazane wyżej centralne pojęcia humanistyki, można znaleźć przede wszystkim poprzez analizę metodologiczną teorii kultury, którą zostawił nam Karol Marx i jego uczniowie. Jego dorobek oddzielić nam może najpełniej i najwięcej rygorów właściwych empirycznemu teorii kultury.

Ponieważ nie rezygnuję nawet pod ciężkim obciążeniem redaktorskiej i publicystycznej krzątaniny, piszę obecnie krótką (około 2 arkuszy druku) rozprawę o tym, jak ukonstytuowanym pojęciem „człowieka” operuje Marx we wstępnych rozważaniach swego „Kapitału” — a jak ukonstytuowanym pojęciem „człowieka” operuje nowsza socjologia, przede wszystkim Bronisław Malinowski. Staram się w świetle formalnych rygorów języka teorii naukowej (tak jak jest ustalona nowsza teoria nauki od Meyersona do Poppera) rozstrzygnąć, które z tych dwu pojęć „człowieka” ma większą wartość metodologiczną.

Praca ta winna być gotowa w ciągu najbliższych dwu miesięcy.

realne, tak samo, jak nie można nim komentować. Świadomość polityczna chłopu stała się faktem, z którym muszą liczyć się wszyscy politycy.

Dlatego też po tym zjeździe jesteśmy spokojni o dalsze losy demokracji ludowej w Polsce. Nikt bowiem tak jak ona szczerze i jasno nie stawia sprawy wyrównania wiekowych różnic kulturalnych i społecznych pomiędzy miastem a wsią, i nikt lepiej od niej nie może się w Polsce wylegitymować takim dokonaniem, jak reforma rolna, która usunęła pierwszą i zasadniczą przegrodę, dzielącą wieś od miasta. Nic też dziwnego, że i „rządy dusz” chłopskich wysuwają się powoli z rąk przywódców PSL. Program ich bowiem i hasła — dobre i popularne w okresie sanacji — nie odpowiadają już dzisiaj zmienionej na skutek rewolucji agrarnej sytuacji na wsi, ani co więcej, nie uwzględniają tych głębokich przemian i przeobrażeń, jakim uległa nasza wieś.

Drugim charakterystycznym momentem była głęboka świadomość nieomal wszystkich uczestników zjazdu, że tylko przy ścisłej współpracy politycznej, kulturalnej i gospodarczej z miastem wieś może osiągnąć wyższy poziom cywilizacyjny. Tylko w jak najściślejszym związku z miastem może wieś zdobyć kulturę i techniki ludzkiej, tak niezbędne do wywyższenia jej z wiekowatego zastoju i zacofania. Stąd też sojusz chłopsko-robotniczy przedstawia się w świadomości chłopskiej nie jako mgliste hasło wiecowe, ale jako konkretna współpraca polityczna, gospodarcza, kulturalna i społeczna. Dotychczasowe osiągnięcia w postaci reformy rolnej i zerwania krepujących jej rozwój więzów feudalno-kapitałistycznych zawdzięcza wieś wydatnej pomocy miasta, zwłaszcza robotników. Los chłopu i robotnika — tych dwóch towarzyszy walki o wspólne wyzwolenie społeczne — jest nierozdzielny. Wszelkie próby rozbicia współpracy wsi i miasta są tak samo skazane na niepowodzenie, jak chęć przywrócenia na wsi sielsko-patriarchalnych stosunków, zamykających przed chłopem otwarte już drogi do kultury i cywilizacji.

Dalszym charakterystycznym momentem zjazdu było konkretne postawienie po raz pierwszy w Odrodzonej Polsce sprawy przyszłego ustroju agrarnego, dróg rozwojowych wsi polskiej, jej miejsca i znaczenia w odbudowie kraju. Podstawą tego ustroju jest nowoczesne, samodzielne, indywidualne, opłacalne gospodarstwo chłopskie, powiązane szeroko rozgałęzioną siecią spółdzielczości, wyrównującej braki indywidualnego gospodarstwa w postaci pomocy technicznej, realizowanej za pośrednictwem spółdzielczych stacji maszynowych i obejmującej wspólne dla tych gospodarstw dziedziny wytwórczości rolniczej oraz wymiany towarowej i kulturalnej.

Ustalone przez zjazd drogi rozwoju gospodarczego, kulturalnego i społecznego wsi są po Manifestie Lipcowym, po przeprowadzonej reformie rolnej i unarodowieniu wielkiego i średniego przemysłu oraz banków dalszym ogniem w budowie Odrodzonej Polski Ludowej.

Teofil Witke

Troska o wychowanie

Mgr Jan Jasiński. Gry i ćwiczenia terenowe (Harcze terenowe). Dla organizacyj młodzieży, hufców przysposobienia wojskowego oraz szkół powszechnych i średnich. Wydanie trzecie. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1945; str. XI i 1ml i 254 i 2ml.

Autor nie kryje się z tendencją, jaką przyświecała mu przy pisaniu książki, mającej ułatwić nauczycielom i instruktorom pracę w dziedzinie przygotowania młodzieży do obrony kraju. W długiej i wyczerpującej, choć eklektycznie pomyślanej części teoretycznej, autor, entuzjasta jak najczystsze stosowania gier w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, daje wyraz optymistowski wychowawczemu, popierając swe stanowisko argumentami naukowymi lub też aktualnymi przed wrześniem 1939 r. propagandowymi hasłami.

Hasła te dziś wzbudzić mogą tylko uśmiech i gest wyrozumiałości dla człowieka, który w r. 1939 śmiercią żołnierza stwierdził szczerze głoszonej przez siebie ideałów i którego słowa powtarza się w pierwotnym brzmieniu przez pletymy dla jego pamięci. Głęboka wiedza psychologiczna, niemałe doświadczenie pedagogiczne i wiara w owocność rzetelnej metody dydaktycznej, oto zręby, na których wznosi się przekonanie o celowości pracy wychowawczej. Wykorzystując związane z określonymi fazami rozwoju psychofizycznego zainteresowania młodzieży, dostrzegając wśród nich wiele momentów, które odpowiednio wykorzystane staną się podwaliną pod rozwój przyszłego człowieka. Charakter, osobowość, honor, oto problemy, których rozwiązanie ułatwia gry, te same gry, których przed kilkunastu laty autor pragnął użyć do rozwinięcia w naszej młodzieży instynktów: bojowego, walki, wodzostwa. Jakże często zbyt pochopnie głoszenie niesprawdzonych jeszcze w życiu hasel wychowawczych może w konsekwencji zawieść na rozdroża. Ostatni tak tragiczny rozdział narzucił historii wychowawcy, świadomie rozwijający w człowieku te „prainstynkty”, które w połączeniu z wiarą w wyższość rasową i z kultem woda wytworzyły zlimne, egoistyczne zbrodniarstwo.

Część szczegółową podręcznika stanowi uzupełniony komentarzem wykaz gier i ćwiczeń terenowych ujętych dwupołomowo: poniżej 14 i powyżej 15 lat. Ścisła terminologia wojskowa ma zaopoznać młodzież z rozległą żołnierską wiedzą, obejmującą przede wszystkim wyszkolenie bojowe, łączność i terenoznawstwo. W metodzie pracy autor widzi jednak przed sobą raczej zastępowanie rozwiązań i żyjących ludzi harcerzy, niż zdyscyplinowany wojskowy oddział.

Mimo niezręcznego budzenia przebrzmiałych ech i niewątpliwych braków, książka stanowi pozytywny dorobek naszej powojennej akcji wydawniczej i jako podręcznik w rękach krytycznego nauczyciela i instruktora spełni doskonałą rolę.

Szata zewnętrzna książki bez zarzutu. Korekta na ogół staranna.

Kazimierz Olszewski

